CENA 3 ZŁ

Pobudka

TYGODNIK

ROK II | Łódź, dnia 10 listopada 1946 r. | Nr 44(58)

DWA LISTOPADY

Kiedy 7 listopada 1918 r. utworzony został pod przewodnictwem towarzysza Ignacego Daszyńskiego pierwszy Rząd Ludowy, kiedy w Manifeście Lubelskim formułowano podstawy politycznej i gospodarczej przebudowy państwa polskiego — Rosja święciła pierwszą rocznicę historycznej Rewolucji Październikowej.

7. listopada 1917 roku dopełniła się w historii świata po raz pierwszy pełna rewolucja proletariacka, po raz pierwszy proletariat wsi i miast — wziął władzę w swoje ręce.

Rewolucja Październikowa była nie tylko momentem przełomowym w historii Rosji. Był to moment przełomowy w historii świata, przetwarzający ośrodek najbardziej zacofanego despotyzmu — w państwo robotnika i chłopa, w państwo nowej struktury gospodarczej i politycznej, był to początek tworzenia się nowej siły — która tak decydująco miała w przyszłości zaważyć na losach całego świata w zmaganiach i w walce z faszyzmem.

W rok po Rewolucji Październikowej — lud polski próbował również ująć władzę w swe dłonie. W rok po Rewolucji robotnik i chłop polski próbował dokonać swej własnej, pierwszej rewolucji, innej niż ta, którą dokonano w Rosji, ale — rewolucji.

Popełniony został jednak kardynalny błąd, który przekreślił te zamierzenia: odłożono realizację zasadniczych przemian które głosił Manifest Lubelski na dni przyszłe. Nie przystąpiono do przekuwania zapowiedzi i słów — w czyny. W następstwie — wydarta została władza z rąk ludu i odtąd daremnie czekano i daremnie walczono o spełnienie zapowiedzianych przemian.

I dziś, kiedy z perspektywy lat patrzymy na te dwie historyczne daty, wyciągamy z nich nauki. Uczymy się — oceniając je objektywnie — trzeźwo i rozsądnie myśleć o rzeczywistości.

7. listopada 1917 r., który był nie tylko walką o wyzwolenie ludu rosyjskiego, lecz pośrednio przyspieszył nasze wyzwolenie narodowe, był również dniem, który zapoczątkował wyzwolenie i wybawienie ludzkości od koszmaru faszyzmu i hitleryzmu. Doceniając i rozumiejąc Rewolucję Październikową, wiążąc ją z naszą rzeczywistością ostatnich lat — stwierdzić musimy, że gdyby nie potęga Związku Radzieckiego, który wyrósł z tej Rewolucji — nasz naród, nasza państwowość w ciągu ostatniej wojny zostałaby zniszczona bez reszty. Dlatego też w dniu święta Związku Radzieckiego — społeczeństwo polskie, polskie masy pracujące, wspominając twórców i bohaterów Rewolucji Październikowej, wspominając niedawne bohaterstwo i ofiary ludu rosyjskiego — łączy swe myśli z życzeniami dalszej owocnej pracy na drodze wytkniętej przed 29 laty — w przekuwaniu sukcesów wygranej wojny na dalsze realne wyniki w budowaniu wszechświatowego pokoju, w budowaniu lepszego jutra dla całej ludzkości.

A dzień 7. listopada 1918 roku uczy nas jednej prawdy: że realizacji naszych życiowych i podstawowych postulatów nie wolno nam nigdy odkładać na dni przyszłe i że — nie wolno masom pracującym oddać z rąk władzy, jeśli ją raz zdobyły. I my z tej prawdy wyciągnęliśmy już realne wnioski. Manifest PKWN-u wydany w tym samym Lublinie co Manifest Rządu Ludowego — realizowany jest konsekwentnie i bez reszty, a realizacja jego założeń stwarza tak bogaty kapitał zaufania dla budowniczych dzisiejszej rzeczywistości — że z zupełnym spokojem powiedzieć możemy, że władzy z rąk naszych nie będziemy potrzebowali oddawać.

I władzy — nie oddamy!

A nawiązując do zawołań Manifestu Lubelskiego i wyciągając wnioski z naszych błędów z przed ćwierćwiecza — w 28 rocznicę utworzenia Rządu Ludowego — mówimy, że w realizacji założeń dnia dzisiejszego, dążymy do zbudowania, do stworzenia ustroju sprawiedliwości i dobrobytu społecznego, do szczęścia i pełnej wolności dla wszystkich ludzi, dążymy —

do Socjalizmu!

J.

Ludu Polski! Polski Chłopie i Robotniku!

Jeżeli chcesz zająć należne ci miejsce w rodzinie wolnych narodów, jeżeli chcesz sam być gospodarzem na swojej ziemi, to musisz w swoje ręce ująć władzę w Polsce, musisz sam budować gmach niepodległej i zjednoczonej Ludowej Rzeczypospolitej Polskiej!

Ludu Polski!

Wybiła godzina twego czynu. Weź wielkie dzieło wyzwolenia swej ziemi przesiąkniętej potem i krwią twych ojców i praojców w swe spracowane mocne dłonie i przekaż następnym pokoleniom wielką i wolną, zjednoczoną Ojczyznę. Stań, jak jeden mąż do czynu, nie poskąp wielkiemu dziełu wyzwolenia Polski i pracującego w niej człowieka ani mienia, ani ofiar, ani życia.

(z Manifestu Lubelskiego)

Prawda czasów powojennych

Gdybyśmy chcieli odpowiedzieć na pytanie, kiedy według pojęć przeciętnego człowieka sytuacja wojenna przekształca się w pokojowe w pełni warunki egzystencji, kiedy ciężar wojny, ze wszystkimi jej okropnościami, ustępuje pod naciskiem pokojowych dążności — należałoby przedtem zbadać szczegółowo, jak dalece ostatnia wojna zaciążyła nad losem człowieka.

Poruszano już w prasie problem wojny totalnej z jej okropnościami zbiorowej odpowiedzialności, z systemem niewolniczym pracy, z bombardowaniem otwartych miast itd. Ale ciągle jeszcze przeciętny człowiek nie może przeczytać w gazecie wiadomości o zakończeniu konferencji pokojowej, któraby uregulowała ostatecznie stopień odpowiedzialności napastników, nic jeszcze nie czyta o wycofaniu wojsk do własnych krajów. Wprawdzie widzi wiele dokonań świadczących o dobrej woli narodów w pokojowym porządkowaniu świata, widzi przetargi o takie czy inne miasto lub rzekę, kończące się kompromisem.

Ale mimo, że ciągle mówi się o tym jak wielką rolę odgrywa dziś czas — konferencja pokojowa przedłuża się w nieskończoność, a ustalenie warunków pokojowych dla Niemiec przewiduje się dopiero w połowie przyszłego roku. Mało: Ameryka rozbudowuje swoje bazy wojskowe niemal we wszystkich ważnych strategicznie punktach świata, jej budżet wojskowy nie ulega zmianie od czasu przystąpienia do wojny. W czasie dyskutowania o losach jakiegoś portu naprzykład na Morzu Śródziemnym na jego wodach — jak stwierdził w wywiadzie generalissimus Stalin — pojawiają się okręty wojenne USA. O bombie atomowej pisze się i mówi tak wiele, że już czytelnikom obrzydł ten temat.

Przeciętny człowiek czyta o tym, częściej daje posłuch fantastycznej plotce, naprzykład o wielomilionowej armii radzieckiej, która ma przemaszerować przez Polskę na Zachód (plotka ta zresztą była rozpuszczona przez spekulantów, którzy zarabiali grube pieniądze na wysprzedawaniu różnych towarów) i traci zaufanie do pokojowej stabilizacji w świecie, żyje dniem dzisiejszym. I to nie jest dziś dla narodów znękanych minioną wojną sprawa błaha. Jeżeli Byrnes twierdzi, że naprężenie stosunków między ZSRR a Stanami Zjednoczonymi wzrasta, generalissimus Stalin zaprzecza kategorycznie tej wieści, to przecież jest oczywiste, że ministrowi amerykańskiemu zależy celowo i świadomie na szerzeniu niepokojów w świecie.

Ostatnio ukarani byli w Norymberdze przywódcy hitleryzmu, odpowiedzialni za wybuch drugiej wojny światowej. Świat przyjął wyrok norymberski jako słuszne choć niedostateczne zadośćuczynienie za swe tragiczne przeżycie wojenne. Trzebaby dziś przedyskutować problem, kto po wojnie odpowiada za brak wiary przeciętnego człowieka w sprawiedliwą stabilizację pokojowego współżycia narodów?

Jest to tymbardziej konieczne, że właściwie wszystkie okoliczności wskazują, że mówienie o wojnie jest wielkim łgarstwem celowo podtrzymywanym, aby szerzyć niepokój wśród tych, którzy są najbardziej wojną dotknięci. Jest przytym oczywiste, że podejmują tego rodzaju akcję ci, dla których wojna była wielką szansą robienia fortuny i którzy dziś martwią się z powodu nadmiaru posiadanego zapasu złota.

Wszystkie bowiem logiczne argumenty, dotyczące w pierwszej mierze nastrojów ludzi pracy całego świata wskazują, że wojna jest absurdem, że można nią tylko szantażować, a nigdy na nowo bezkarnie zaryzykować jej realizację.

Taki obraz w poglądach przeciętnego człowieka formują te echa pertraktacji pokojowych i dyskusji w ramach ONZ, jakie docierają do niego z gazet i wszędobylskiej plotki. Ale przytym wszystkim, coraz bardziej w świadomości owego przeciętnego człowieka utrwala się przekonanie, że owe rachuby wojenne, cyniczne przetargi mogą być zastąpione realnym programem ludzi postępu, programem partii socjalistycznych, które ponad granicami, ponad wszelkimi interesami imperialistycznymi możnych tego świata, a właściwie naprzekór temu wszystkiemi co wsteczne i reakcyjne budują zdrowe zręby nowego, szczęśliwszego świata. I to jest najbardziej krzepiące przeświadczenie najbardziej trwała i przekonywująca prawda czasów powojennych.

A.P.

Od niedzieli —

W ubiegłym tygodniu pisałem o „schu-macherkach" pana Schumachera. Dziś — znów trzeba mi wspomnieć o „kwiatkach" z brytyjskiej łąki okupacyjnej.

Nowokreowana „szyszka" niemiecka — minister (!) Blücher, w czasopiśmie niemieckim „Welt" — takie mądrości wypisał: „Nie chcemy, aby nas zmuszano do tego, abyśmy się stali znowu mąciciełami pokoju, lecz pragniemy, aby nasi rolnicy mieli możność powrotu na ziemię niemiecką na Śląsku, w Prusach Wschodnich i w Poznańskim (!)", a świeżo upieczona „demokratka" pani Marta Sverich — poszła jeszcze dalej, bo twierdzi: „Musimy znowu zorganizować „Czarną Reichswehrę", aby siłą rozwiązać problem naszych granic wschodnich".

Tak, towarzysze! Siłą — należy rozwiązać! A kiedy to się wojna skończyła?...Akurat równe półtora roku temu, co?

Polska Misja Wojskowa w Berlinie wniosła do Rady Kontrolnej notę przeciwko tym swoistym wybrykom, które są pogwałceniem zarządzeń, wydanych przez Radę, ale szaremu, zwyczajnemu człowiekowi to wydaje się, że tam na zachodzie... klepie ktoś pacierz za panią matką... I to akurat wszystko w strefie okupacyjnej mocarstwa, które również na temat naszych granic zachodnich nie umie znaleźć zrozumiałego dla nas języka.

Ano... co robić!... My możemy tylko jeszcze raz przypomnieć, że dla nas sprawa granicy zachodniej jest definitywnie załatwiona. I nie tylko dla nas.

***

W Krakowie toczy się obecnie proses twórców i przywódców tzw. Goralenvolku. Nie stanęli przed trybunałem wszyscy, gdyż jeden z „wodzów' został jeszcze w czasie okupacji... powieszony, a inny „wódz" i główny „ideolog" — dr. H. Szatkowski, bawi jeszcze za granicą, ale wszczęte przez władze polskie starania — niezadługo sprowadzą go przed oblicze sprawiedliwości.

Idea „wywodzącego się ze szczepów germańskich Goralenvolku" — jak to mądrze wydedukował „doktór" Szatkowski b. działacz sanacyjny, nie mogła jakoś znaleźć miejsca, ni popularności między góralami. Nie pomogły nawet gadki, że ten, który nie przyzna się do narodu „goralli" spotka się z ostrymi represjami, nie pomogły obiecanki o korzyściach i przywilejach, wypływających z tego „ho-

TAK JEST!

„Czy Związek Radziecki uważa zachodnie granice Polski za ostateczne?

Tak jest!"

Ta lakoniczna, a równocześnie jasna i dobitna odpowiedź generalissimusa Stalina, udzielona prezesowi Stowarzyszenia Prasy Amerykańskiej, jest swego rodzaju odpowiedzią dla ministra Bevina, który raczył podczas ostatniej dyskusji w angielskiej Izbie Gmin stwierdzić:... **nie mogę zataić, że w Poczdamie zgodziliśmy się na znaczne zmiany granic Polski tylko z największym ociąganiem się — na żądanie naszego radzieckiego sojusznika... i że „nie widzimy żadnego powodu, dlaczego mamy ratyfikować ustąpienia tak rozległych ziem na rzecz Polski, dopóki nie przekonamy się, że rząd Polski wypełni wzięte na siebie zobowiązania"...**

Wielka Brytania więc zgodziła się na nasze zachodnie granice **„z największym ociąganiem"**. To szczere oświadczenie jest cennym przyczynkiem w naszej politycznej orientacji w ramach międzynarodowym, jest przyczynkiem — do realnej oceny naszych przyjaciół i sojuszników.

Nie chcemy mówić o pewnej dozie goryczy, jaka w nas narasta, gdy przychodzi nam myśleć o Polsce według anglosaskiej „koncepcji", o Polsce — od Bugu do Warty, i nie chcemy mówić o dziwnych uczuciach, które ogarniają nas gdy czytamy słowa listu min. Bevina, przysłanego dla redakcji „Głosu Anglii" z okazji ukazania się pierwszego numeru tego tygodnika, a w którym czytamy:

> ....„Cieszę się, że mam sposobność przesłać tą drogą w imieniu moim i moich rodaków serdeczne pozdrowienia dla narodu polskiego.
>
> W ciągu sześciu lat wojny Polacy w kraju swym i za granicą walczyli niezłomnie o uwolnienie od niemieckiego najeźdźcy swej własnej Ojczyzny i o przywrócenie demokracji w Europie. Walczyli ręka w rękę z Brytyjczykami w Afryce północnej, we Włoszech i w Europie północnozachodniej. Polskie lotnictwo i marynarka dokonały niezapomnianych bohaterskich czynów dla wspólnej sprawy.
>
> ...Kraje nasze łączyła zawsze silna więź wspólnej kultury i przyjaźni. Przyjaźń tę wzmocniło jeszcze przymierze w czasie wojny..."

Bo my chcemy naprawdę szczerze widzieć w Anglii naszego **prawdziwego** przyjaciela. Przyjaciela — którego łączy z nami krew spod Tobruku, Falaise, Narwiku i Monte Cassino, krew — i polskich lotników i polskich marynarzy, krew — która właśnie lała się tak samo jak tych spod Kołobrzegu i Lenino — za granice na Odrze i Bałtyku. Za granice — na które trzeba było się godzić „z największym ociąganiem".

I tylko wtedy — gdy to kapitalne dla nas zagadnienie, — że **granice nasze na zachodzie są granicami ostatecznymi** — zostanie przez min. Bevina zrozumiane, gdy przestanie się o nas i do nas mówić językiem obrońców narodu niemieckiego, językiem — który próbuje kwestionować słuszność naszych granic zachodnich i językiem protektora, który próbuje ingerować w nasze wewnętrzne stosunki — wtedy zrozumiemy się.

Bo **„ugruntowanie prawdziwego, wzajemnego zrozumienia między narodem polskim i brytyjskim"** — jak chciałby tego min. Bevin, można tylko zrealizować taką właśnie lakoniczną, a dobitną odpowiedzią, kiedy istnieje zagadnienie naszych granic zachodnich: **Tak jest!...**

Tak jest! Nasze zachodnie granice są granicami ostatecznymi. **Nasze zachodnie granice są gwarancją naszego bezpieczeństwa i gwarancją pokoju Europy!**

I tak myślimy i mówimy my wszyscy tu, w Polsce, tak myśli i mówi nasz wschodni sojusznik i tak mogą i powinni powiedzieć ci, którzy **zgodzili się na nie" z największym ociąganiem".**

Innego języka nie zrozumiemy!

ju.

---

noru" — bo nasi górale nie garnęli się jakoś do zdrajców i zaprzedawczyków.

Teraz — następuje epilog. Piątka kolaboracjonistów czeka na swą zasłużoną karę. I doczeka się. I „doktora" Szatkowskiego też dosięgnie wyrok polskiego trybunału. Bo miejsca dla zdrajców polskiego narodu pod polskim niebem — niema! A my?... a my zapytamy:

„gorallu" — czy ci nie żal?...

***

Od małego dziecka nie miałem dobrego wyobrażenia o Grekach. Nie wiem dlaczego... Może to było następstwem jakiejś dwójki z greckiego, czy historii starożytnej Grecji, a może reakcja na popularne wówczas między młodzieżą powiedzionko: — nie udawaj Greka!...

I myślę, że właśnie to „udawanie Greka" zaważyło i przeważyło w mojej opinii o tym południowym kraju, bo przyznać muszę, że pasjami lubiłem chałwę grecką.

Ostatnio zmieniłem w pewnym stopniu swe zapatrywania. Obecnie czuję nawet do Greków (oczywiście nie wszystkich) dużo sympatii. Tylko nie wiem, dlaczego również tak dużo sympatii czują do nich inni jeszcze ludzie. A że tak jest to świadczy fakt, że starają się, by i poza granicami tego państewka było Greków... jak najwięcej. Nie wierzycie?... Słowo wam daję!

Bo proszę: w Rumunii mają się odbyć wybory. A że wybory, to — hajda!... i już do rządu rumuńskiego wpłynęły dwie noty a propos właśnie tych wyborów...

W Polsce też będą wybory. I do nas również wpłynęły noty. Ale to nic dziwnego. Bo przecież nie jest tajemnicą, że i do naszych wyborów chcianoby dorzucić swe trzy grosze.

Rumuni na obie noty odpowiedzieli. A my — już dawno, nie czekając na żadne noty, powiedzieliśmy — że my Greków nie chcemy udawać i greckich wyborów też nie chcemy.

Wolimy grecką chałwę.

***

W Anglii znajduje się w chwili obecnej jeszcze 160.000 naszych rodaków. Część z nich — nie chce wrócić, a i my z tego powodu nie będziemy rozpaczali. Jest jednak część — i to poważna, któraby właściwie chciała wrócić, a jeśli nie wraca, to powiedzmy sobie prawdę: poddaje się wpływom kontrpropagandy. A ta

— do niedzieli

kontrpropaganda prowadzona jest sprytnie. Że NKWD., że Sybir, że Bezpieka, że Sowiety, że obozy, że każda godzina niepewna...

I czytam właśnie polską gazetę wydawaną w Londynie. Numer stary, z przed szeregu miesięcy. I wiecie, co się dowiaduję?... Proszę.

„Łódź nie wiele ucierpiała w czasie wojny. Życie toczy się normalnie. Jest gaz, elektryczność, telefony, są nawet tramwaje, które kursują przed południem w jedną stronę, a po południu w drugą stronę..."

Więcej nie będę już cytował. Te kursujące przed i po południu tramwaje chyba wystarczą. I przyznam się do jednego: gdybym w czasie, gdy wracałem do Polski zetknął się z informacjami, zawartymi w tym dzienniku to bym się zaczął chyba zastanawiać czy wrócić. I przyznaję również, że rozumiem opory tych ludzi którzyby chcieli wrócić — a których karmi się takimi bredniami.

I przyznaję jeszcze — że dla naszej Propagandy jest tu wspaniałe pole do pracy.

set.

Kim był Wit Stwosz

W średniowieczu, a raczej na jego schyłku pojawiła się, obok wielkiego Mikołaja Kopernika, postać genialnego rzeźbiarza, Wita Stwosza. Był to czas, kiedy w Polsce, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, gotyk w sztuce ustępował przed zwycięskim renesansem. W dziedzinie tej właśnie nowej sztuki zajaśniał mistrz nad mistrze, genialny rzeźbiarz Wit Stwosz.

Żył i działał w wieku XV.

Gdzie i kiedy, chcąc dokładnie określić, urodził się nasz wielki rodak nie jest zbadane. Są poszlaki, że mógł pochodzić z Węgier. Nazwisko natomiast wskazywałoby na pochodzenie śląskie.. Gród podwawelski był kolebką nauki Stwosza, marzeń i rozwoju jego nadzwyczajnych zdolności. W Krakowie a nie gdzie indziej Wit Stwosz rozwinął i objawił swój talent i tu właśnie stworzył największe arcydzieło swego żywota.

Niemcy, znani przywłaszczyciele cudzych geniuszów, staczali wojny pseudonaukowe o rzekomą niemieckość wielkiego rzeźbiarza. Pomimo dziesiątków tomów wydanych przez uczonych i badaczy niemieckich, nie potrafiono jednak tej tezy udowodnić i Stwosz został nadal krakowskim mieszkańcem i polskim artystą. Dopiero ostatnią część swego długiego życia spędził w bawarskim mieście Norymberdze.

Z Krakowa przeniósł się Stwosz dla nieznanych bliżej powdów do Norymbergii już po dokonaniu swego artystycznego zadania. Będąc człowiekiem już starszym żenił się z Polką, miał z nią kilku synów, chrzonych imionami słowiańskimi, mówiących tak jak i ojciec po polsku. W domu jego panowały obyczaje czysto polskie, strój polski zachował w Norymberdze, dokąd jako słynny, polski artysta wyjechał. Wszędzie uważany był za Polaka i przez samych Niemców Polakiem nazywany.

Fakt zostanie faktem, że Stwosz stał się artystą na polskiej ziemi i stworzył arcydzieła wśród nas, z nami pędząc polskie nasze życie duchowe. To nam wystarczy. Wziął zatem natchnienie z polskiego ducha. Twórczość Stworza jest nie tylko wielka, oryginalna, lecz posiada przy tym cechy właściwe charakterowi sztuki słowiańskiej. Rzeźby Stworza żyją tak, iż zdaje się, że zejdą ze swoich miejsc i zaczną chodzić i mówić. W twórczości naszego rodaka jest taka potęga uczucia, jaka się rzadko w historii sztuki spotyka. Ta właśnie odmienność charakteru twórczości Stwosza z zestawieniem takiejże twórczści germańskiej wskazuje na słowiańskość twórcy. Natomiast w żadnym wypadku nie wskazuje na niemieckość sztuki Stwosza.

Najznamienitszym dziełem artysty jest ołtarz kościoła Mariackiego w Krakowie. W latach 1475—1477 zawiązał się w Krakowie komitet budowy wielkiego ołtarza dla kościoła Najświętszej Marii Panny. Komitet ten postanowił powierzyć stworzenie tego dzieła znakomitemu i uznanemu już krakowskiemu artyście-rzeźbiarzowi, który podówczas przebywał w Norymberdze.

Wit Stwosz na wezwanie wraca natych miast do Polski i zabiera się z właściwym mu zapałem do pracy, w którą wkłada swój przeogromny talent i zasób bogatych środków technicznych. Ołtarz ten buduje i tworzy przez lat kilkanaście, postanawiając sobie, że ten utwór będzie głównym dziełem jego życia.

Wit Stwosz był nietylko rzeźbiarzem lecz i snycerzem, znakomitym malarzem, grafikiem i złotnikiem; wspaniałym architektem, odlewnikiem bronzu i inżynierem. Jak w tym samym czasie, jego kongenialny rówieśnik i przyjaciel Mikołaj Kopernik w Toruniu, tak Wit Stwosz w Krakowie był bożyszczem. Miasto powierzyło mu stanowisko miejskiego budowniczego-architekta. Oprócz wielkiego Ołtarza, najwybitniejszym dziełem Stwosza jest grobowiec Kazimierza Jagiellończyka. Dziełami nieprzeciętnymi artysty są poza tym: rzeźba św. Anny w kościele Bernardynów, głowa św. Jana na misie i tryptyk z Lusiny w Akademii Umiejętności. Dalej, wartościowym tworem jest pomnik nagrobny Kallimacha.

Na schyłku swej krakowskiej twórczości, przechylający się coraz wyraźniej ku renesansowi, stworzył artysta parę pomników, między innymi arcybiskupa Zbigniewa Oleśnickiego i biskupa z Bnina. Następnie, blisko sześćdziesięcioletni Wit Stwosz zawiera umowę z radą miejską w Norymberdze na wielkie budowy inżynierskie i przenosi się na stałe do Bawarii.

W niedługi czas potym, umiera mu żona. Żeni się powtórnie z Niemką, w małżeństwie tym nie znajduje ani szczęścia, ani spokoju Z powodu intryg i wyłudzenia odeń dużej gotówki przez jakiegoś niemca, zostaje uwikłany w proces i kłopoty. Podstępnie zostaje na czas jakiś uwięziony. Zwolniony, szuka pocieszenia i ukojenia w pracy. Pracuje w Norymberdze niestrudzenie jeszcze trzydzieści parę lat. Miasto, w którym mieszka przyozdabia się jego znakomitymi dziełami. Jego twory idą dalej, do innych miast europejskich.

Wreszcie następuje katastrofa. Wit Stwosz ślepnie. Ślepota wytrąca dłuto z tej cudotwórczej dłoni. Nie wyszedł artyście na dobre wyjazd z Krakowa. Z życia, pełnego spokoju, uznania, serdeczności i dobrobytu wszedł w życie pełne swarów, intryg, oszustw, nagonki, i zawiści.

Po latach, gdy się sława naszego genialnego artysty ugruntowała i rozeszła po całym świecie, Niemcy chcieli Stwosza adoptować dla siebie wyłącznie. Nazmyślali całe tomy pseudo-naukowych badań, doci i, poszukiwań i tez, aby tylko z wielkiego mistrza z polskiej ziemi zrobić czystego Niemca.

Wybucha ostatnia wojna światowa. Gubernator Frank rozkrada i rabuje dobytek polskiej kultury i cywilizacji. Najwartościowsze arcydzieła sztuki wywozi się z naszego kraju do Rzeszy. Frank kradnie wreszcie Ołtarz Wielki i przewozi do Norymbergii. Polska zostaje obrabowana z dzieł sztuki.

Na szczęście po wojnie amerykańskiej armii udaje się wykryć arcydzieło Stwosza w Norymberdze. Ołtarz Mariacki wraca do Polski. Duch Wita Stwosza towarzyszył zwycięskiemu powrotowi arcydzieła, które stało się podwaliną sławy genialnego artysty i chlubą polskiego narodu, wśród którego mistrz żył, tworzył i był szczęśliwy.

Juliusz Slizowski.

ROZTARGNIENIE.

Panna Alicja otrzymała list od swego znajomego.

— „Ddroga Alicjo — pisał on — w ostatnim czasie jestem strasznie roztargniony. Pamiętam, że wczoraj oświadczyłem Ci się i nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć czy Twa odpowiedź była przychylna czy odmowna".

Odpowiedź brzmiała:

— „Drogi Jerzy! Bardzo się ucieszyłam Twym liścikiem. Ja również ostatnio jestem roztargniona. Pamiętałam, że wczoraj komuś powiedziałam „nie" i nie mogłam sobie przypomnieć komu."

(„Krokodyl")

Z PRAKTYKI LEKARZA.

Pewien słynny doktór został w nocy wezwany do bogatego pacjenta. Po zbadaniu chorego lekarz spytał:

— Czy spisał Pan już testament?

— Nie doktorze — odparł pacjent blednąc.

— W takim razie niech Pan natychmiast zawezwie notariusza i synów swoich.

— Czyżby stan był doprawdy tak groźny? — spytał chory z jękiem.

— Absolutnie nie. Ale nie chcę być jedynym durniem budzonym dziś w nocy bez potrzeby przez Pana.

(„Krokodyl")

CO NAJCIEKAWSZE

Krótki bilans Norymbergi.

Po zakończeniu pierwszego procesu w Norymberdze opublikowano niektóre zdumiewające cyfry. Rozprawa trwała 217 dni, jest to fakt bez precedensu w annałach sądowych. Użyto łącznie w czterech językach 5 milionów słów, przygotowano trzy miliony różnych dokumentów, z których zużytkowano 2 miliony 800 tysięcy. Długość filmów wyświetlanych na procesie wynosi 24.000 kilometrów.

Zabrakło tylko dostatecznej ilości sznura, przeto trzeba było zwolnić trzech zbrodniarzy.

Znakomita technika policji...

Marcin Borman przebywa w Niemczech.

Widziano go tu i tam, trochę wszędzie.

Szefowie policji w strefach okupacyjnych doskonale o tym wiedzą, mrużą oko porozumiewawczo, jeśli ktoś niedyskretny zadaje im pytanie dlaczego go nie aresztują.

— Niech robi co chce — mówią — gdy nadejdzie czas złapiemy trzystu ważnych z nim. Nie spieszy nam się, sześć miesięcy czy rok to wszystko jedno".

Przyjemność — zresztą niepewna — złapania trzystu podejrzanych rozwiewa się, gdyż jest jasne, że w czasie roku Borman zwerbuje 3.000 zwolenników...

Ale policja ma czas...

Oficerowie zostali.

Rekrutacja do korpusu przysposobienia i rozmieszczenia w Anglii robi bardzo małe postępy.

Jak wiadomo Rząd Polski ogłosił zachęcające warunki w swej odezwie wzywającej do powrotu. Premier Attlee wolał jednak tej odezwy nie rozpowszechniać wśród Polaków, gdyż w przeciwnym razie oficerowie pozostaliby bez żołnierzy...

Dlaczego nie wynaleziono?

Pod powyższym tytułem publikuje „American Magazine" częste listy w których czytelnicy domagają się najrozmaitszych wynalazków. Oto niektóre pomysły:

Należy do butelek z syropem dołączyć coś, co by pozwalało na łatwiejsze wypływanie gęstego soku...

Należy w samochodach umieścić podwójne pedały akceleratora, aby szofer mógł używać obu nóg w czasie jazdy. Szoferzy skarżą się na zmęczenie prawej nogi.

Należy zaopatrzyć zeszyty z nutami w automat samoprzewracający strony(!)

Należy uruchomić podia dla orkiestry tak aby wszyscy widzowie na sali mogli oglądać z bliska swego faworyta...

Należy wymyślić takie nożyki do krajania pomarańcz, aby... sok nie ciekł na palce.

Jak widać Amerykanie mają bardzo poważne kłopoty.

Coś dla amatorów.

Armia amerykańska poczyniła ogromne zakupy, licząc się z tym, że wojna potrwa jeszcze conajmniej rok. Skutek bomby atomowej przekreślił wszystkie obliczenia. Armia wyprzedaje obecnie wszystko, począwszy od cygarniczek a kończąc na „pipe-lineach". Są to ogromne rurociągi dla ropy, które łączą amerykańskie tereny naftowe z oboma oceanami. Wystawiono na sprzedaż „Big Inch" i „Little Bing Inch', po kilkanaście milionów dolarów „sztuka".

Dotychczas amatorów nie ma.

Kwiatek z prasy kanadyjskiej.

Prasa amerykańska naogół bardzo mało robi sobie z „wielkich", wykrywając wszystkie śmieszności różnych własnych mężów stanu. Ostatnio prasa kanadyjska zaczyna doganiać pokrewną prasę USA.

Niedawno na ulicach Ottawy odbyła się rzeczywista walka byków. Poprzez ulice miasta spędzano wielkie stado. Młody buhaj zdenerwowany nieznanym miejskim otoczeniem rzucił się na publiczność, stratował cztery osoby i zdarł spodnie młodemu dziennikarzowi, następnie rzucił się na siedzibę, w której przebywał premier Mackensie King. Nie potrafił jednak dać rady z kręconymi drzwiami i ugrzązł w nich. Straż pożarna zlikwidowała zajście.

Nazajutrz premier zrzekł się stanowiska ministra spraw zagranicznych.

Gazety podały o tym fakcie wiadomość pt.

„Wystraszył się byka".

Byczy pomysł czy nie?

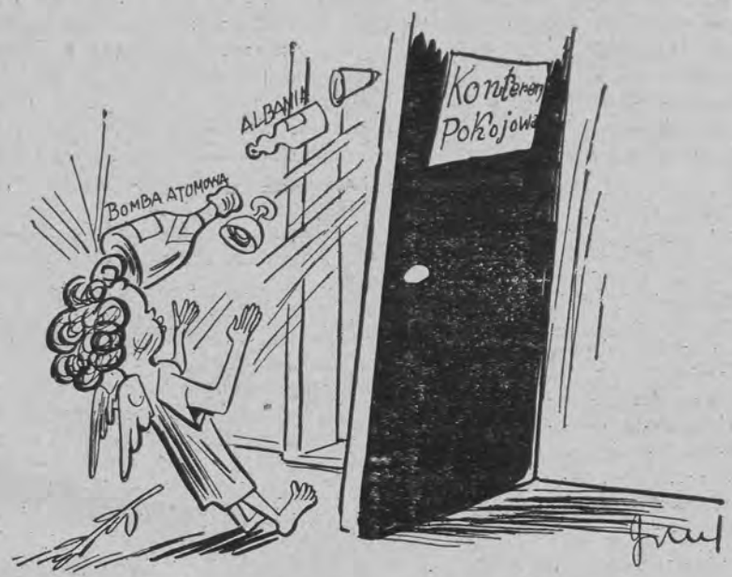

Aniołek pokoju: — Przepraszam jak najmocniej!... myślałem, że to konferencja pokojowa!...

ZDOBYCZE RADZIECKIEJ MEDYCYNY.

Rosyjski profesor dr. Sinicyn dokonywuje operacji zamiany serca u żaby. Nie rozcinając ciała, przez gardło usuwa on serce i tą samą drogą umieszcza inne serce. W trzy minuty po zakończonej operacji, żaba z „nowym" sercem zaczyna się ruszać.

RADAR W URZĘDZIE CELNYM

Rozmaite wynalazki wojenne obecnie znajdują coraz to nowsze zastosowanie w życiu pokojowym. Wiadomo, iż radar znalazł już zastosowanie w lotnictwie i w nawigacji. Obecnie wykorzystują go także celnicy francuscy, którzy używają radaru także przy tropieniu szmuglerów.

IMPERIALIZM AMERYKAŃSKI

Wielki uczony Albert Einstein wyraził się niedawno, że „zbyt często imperializm... przystraja się w najlepsze cechy, a chęć podbojów przykrywa maską liberalizmu."

Słowa te doskonale ilustrują dzisiejszą politykę rządu amerykańskiego.

„Naród amerykański pragnie, aby rządy w Niemczech powróciły w ręce narodu niemieckiego, pragnie on dopomóc narodowi niemieckiemu w odzyskaniu miejsca między wolnymi i pokojowymi narodami świata" — ten urywek z mów Byrnesa jest charakterystycznym przykładem owej „maski liberalizmu". Bowiem żadne humanitarne podejście do spraw, ani litość nad „cierpieniami" Niemców, o których wspomina amerykański minister spraw zagranicznych, nie są przyczynami tego serdecznego stosunku, jaki nagle przejawił Byrnes do Niemiec.

Sprawa jest bardziej prosta i mniej górnolotna. Niemcy są St. Zjednoczonym potrzebne. Nie tylko Niemcy z resztą. W Japonii i Meksyku, w Chinach i na Bliskim Wschodzie, w Brazylii i Islandii widzimy dążenie Amerykan do umocnienia swych wpływów. Niektórzy amerykańscy imperialiści marzą o światowej hegemonji USA. Przewodniczący Izby Reprezentantów wyraził się kiedyś w parlamencie bez osłonek: „Nam dziś dana jest możność kierowania światem. Głosy na całym świecie żądają, by amerykańska demokracja zajęła kierujące stanowisko". To powiedzenie jest zdaje się niedwuznaczne i nie wymaga komentarzy. Owe „głosy na całym świecie", to głosy reakcji, to głosy Niemców i Japończyków, żywiących nadzieję szybko „przyjść do siebie" pod nadzorem „liberalnych" Amerykan, to głosy rozmaitych wywłaszczonych fabrykantów i obszarników w różnych krajach Europy, liczących, iż „wujo Sam" odbierze robotnikom i chłopom i zwróci im ich majątki.

Jaka jest przyczyna powstania amerykańskiego imperializmu? Kraj o tak kolosalnych bogactwach i tak dużym obszarze, wydaje się, nie może mieć więcej potrzeb ekspansywnych. Lecz organizm gospodarczy St. Zjednoczonych cierpi na niedomagania, właściwe ustrojowi kapitalistycznemu. Dziś w momencie przejściowym od stanu wojny do stanu pokojowego, ekonomika amerykańska napotyka na wielkie trudności. Podczas wojny produkcja przemysłowa została wyśrubowana do maksymalnych granic. Po pierwsze — wybudowano cały szereg nowych zakładów przemysłowych. Na budowę wydano 20 — 25 miliardów dolarów (wartość całego aparatu przemysłowego USA przed wojną wynosiła 55 — 60 miliardów dolarów). Po drugie — wykorzystano do maksimum istniejące urządzenia fabryczne. O ile przed wojną wykorzystywano je na 50— 80%, to w czasie wojny dawały one ze siebie 98%. Po trzecie zatrudniono większą ilość robotników. Po czwarte zwiększono natężenie pracy. Po piąte zastosowano cały szereg ulepszeń technicznych.

Zastosowanie tych wszystkich środków dało w rezultacie fakt, że ilość ogólnej produkcji St. Zjednoczonych wzrosła blisko dwa i pół razy. To było oczywiście dobre i pożądane podczas wojny. Obecnie jednak, przy istniejących w Ameryce warunkach ekonomicznych, prowadzi do rozmaitych komplikacji. Brak jest rynków zbytu dla tej olbrzymiej ilości artykułów przemysłowych.

Jeśli szukać drogi do wyjścia z sytuacji przez zmniejszenie produkcji, to musi to doprowadzić do kolosalnego bezrobocia. Aby nie dopuścić do tego, amerykańscy przemysłowcy szukają za wszelką cenę rynków zbytu. Rynek wewnętrzny nie daje się, w obecnych warunkach, bardzo poszerzyć. Ostatnia zwyżka cen, spowodowana częściowym zniesieniem kontroli cen, jeszcze bardziej ograniczyła możliwości nabywcze Amerykan. To wszystko każe kapitałowi amerykańskiemu coraz usilniej starać się o zdobycie rynków zbytu za granicą, i pcha go na drogę imperializmu. Oczywiście imperjalizm ten posiada swoiste cechy i prowadzi ekspansję drogą gospodarczą. Dzisiejsza sytuacja jest bardzo sprzyjająca dla rozwoju tego rodzaju ekonomicznej ekspansji St. Zjednoczonych. Dzięki „lend-lease'owi" dostawy USA do państw sprzymierzonych znacznie się zwiększyły. Eksport amerykański wynosił w 1938 r. 3,1 miliardów dolarów, a w 1944 — 14,2, tzn. czterokrotnie więcej. Mimo, iż większość tego eksportu szła na podstawie „lend-lease'u", tzn. była pożyczana, to jednak pozwoliła ona wedrzeć się na takie rynki, dokąd do tej pory albo wcale nie eksportowano, albo eksportowano bardzo mało. To dotyczy przede wszystkim Anglij i państw Imperium Brytyjskiego. Na skutek owej ekspansji gospodarczej takie państwa jak Kanada i Australia są dziś bardziej zależne od USA, niż od Anglij. Wykorzystując sytuację wojenną St. Zjednoczone opanowały również rynki państw Ameryki Południowej, na których przed wojną poważne wpływy miała Anglia i Niemcy. Podczas wojny Niemcy były oczywiście odcięte od Ameryki, a Anglia sama znajdowała się w ciężkich warunkach ekonomicznych i nie była w stanie walczyć o rynki zbytu. W ślad za podbojem gospodarczym większość państw południowo-amerykańskich staje się zależnymi politycznie od St. Zjednoczonych.

Na Dalekim Wschodzie Amerykanie prowadzą energiczną działalność, by zająć dominujące stanowisko. Korespondentka „Nowoje Wremia" pisze: „Rzuca się w oczy, że na Dalekim Wschodzie decydujące znaczenie ma słowo amerykańskich przedstawicieli". W Chinach wojska amerykańskie otwarcie popierają rząd centralny w walce z armią chińskich komunistów, mimo iż wojska sowieckie dawno już wycofały się z Mandżurii.

Również i na Bliski Wschód sięga ekspansja St. Zjednoczonych. Zawarcie przez rząd amerykański umowy z Egiptem w sprawie budowy rurociągu naftowego, współdecydowanie o losach Palestyny, coraz mocniejsze przenikanie kapitału amerykańskiego do państw arabskich — świadczą o dużym zainteresowaniu się Amerykan sprawami Bliskiego Wschodu.

Podobną dbałość o los narodu niemieckiego widzimy w ostatniej mowie Byrnesa. Amerykanom zależy na Niemcach z kilku powodów. Po pierwsze cały szereg amerykańskich firm jest zainteresowany w rozwoju niemieckiego przemysłu, z którego drogą pośrednią czerpią zyski. I tak np. niemiecki koncern „Schering" znajduje poparcie ze strony potężnego amerykańskiego trustu Dupont. Podobnie niemiecki trust stalowy ma wielu protektorów po drugiej stronie oceanu.

Druga przyczyna przychylnego stosunku St. Zjednoczonych do Niemiec to chęć wykorzystania ich w przyszłości, jako rynku zbytu dla towarów amerykańskich.

Nie można też przymykać oczu na fakt, iż St. Zjednoczone pragną mieć przyjazne Niemcy, jako atut polityczny w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Ta przyczyna jest najgroźniejsza, gdyż ona najprędzej może dać możność Niemcom odzyskania swej potęgi.

Imperializm amerykański, widoczny w całym szeregu wyżej wymienionych przykładów, nie ogranicza się jedynie do ekspansji gospodarczej. W Chinach posługuje się on uzbrojonymi oddziałami wojska. Ostatnio zaś stała się „modna" metoda tzw. dyplomacji atomowej. Próby na Bikini, pogłoski o nowych rodzajach broni atomowej, a co najważniejsze nieustanne zbrojenia — są środkami mającymi dopomóc imperializmowi amerykańskiemu.

Prof. Enstein rzekł niedawno korespondentowi „Sunday Express": „Amerykańskie zbrojenia rozwijają się ze straszną szybkością".

Głos w dyskusji

Rodzice i szkoła

Na marginesie artykułu „Jędruś idzie do szkoły". („Pobudka" nr. 43). **„Zadaniem szkoły jest między innymi nauczyć rodziców jak należy uczyć i wychować dzieci".**

Jest to jedno z zadań szkoły, patrząc z perspektywy jej rozwoju, bardzo bliskie a jednocześnie bardzo dalekie. Jeśli patrzymy nań z punktu widzenia potrzeb szkoły — to będzie to zadanie bardzo bliskie, lecz jeśli spojrzymy nań od strony urealnienia — będzie to zadanie bardzo dalekie.

— Jakiej szkoły chcę dla Jędrusia. Tak pyta tow. K. Piechowicz, patrząc krytycznym okiem na szkołę dnia wczorajszego, a stwarzając pewien idealny obraz szkoły dnia jutrzejszego. Zgadzam się w zupełności, że szkoła w obecnej formie jest jako zakład wychowawczy bardzo daleką od ideału, ale nie zgodzę się z tem, że znajdujemy się w błędnym kole, z którego ob. K. Piechowicz nie znajduje wyjścia. Dla mnie wyjście jest zupełnie wyraźne, a mianowicie:

Dziecko w szkole przebywa godzin 5 lub 6 przyczym zdane jest wtedy w zupełności na wpływ środowiska szkolnego, ale jedynie w czasie przerw to jest w ciągu godziny lub 1, 5, gdyż czas lekcyjny jest okresem w którym dziecko, przebywające w środowisku — oddziaływania jego w zbyt wielkim stopniu nie doznaje ściśle mówiąc, wykład, czy odpytywanie. (najczęstsza metoda przeprowadzania lekcji) nie daje dziecku możności ani wyżycia się, ani oddziaływania nań otoczenia. Trudno negować całkowicie wpływ środowiska, lecz jest ono częściowem tylko. Faktycznego głosu nabiera środowisko szkolne w czasie przerw lub lekcji wolnych. Wtedy dziecko wyżywa się, chłonie świat otaczający, reagując żywo na zjawiska przechodzące obok. Dopiero wtedy możemy dziecko poznać, zaobserwować jego usposobienie. Lecz wtedy najczęściej występuje na arenę dyscyplina szkolna, która albo ujarzmi elewa, lub też musi sprawę przekazać opiece domowej.

I teraz dopiero wysuwa się właściwa treść wychowawcza szkoły. Szkoła spotyka się z domem, a spotkanie to winno w efekcie końcowym przynieść pewien rezultat wychowawczy i poznanie lepsze dziecka. Koniecznym jest, aby przy takim spotkaniu dom ze szkołą doszedł do porozumienia. Ale jak jest w rzeczywistości? Wychowawca czy nauczyciel, jak wszyscy to zgodnie stwierdzimy, nie zawsze jest człowiekiem do swego zawodu predystynowanym, częściej traktuje swą funkcję po rzemieślniczemu. Uczeń był niegrzeczny, uczeń się źle zachował, uczeń łobuzował, oto fakty — które zostają przez przeciętnego nauczyciela skonstatowane i opiece domowej podane do wiadomości!.

Jaka jest wtedy postawa tak zwanej opieki domowej. Jestem od szeregu lat nauczycielem szkoły średniej i w czasie mej pracy zawodowej spotykałam niewielu rodziców, którzyby chcieli lub mogli ze mną bardziej wnikliwie o przewinieniach pociechy porozmawiać. Najczęstszym typem rodziców — to rodzice zawstydzeni niesubordynacją elewa, tłumaczą się — jakgdyby w przewinieniu sami brali udział. Starają się nauczyciela czy wychowawcę przeprosić, ułagodzić, a jednocześnie czuje się, że za to w domu nastąpi rozprawa z własną pociechą, w wielu wypadkach cielesna. Często rezygnowałam z wezwania opieki domowej do szkoły, gdyż każda wiadomość o figlu dziecka budziła w rodzicach chęć kary. Do poznania dziecka, ani do jego wychowania nie pomagało mi to wcale, lecz przeciwnie, raczej wychowanie utrudniało. Do rzadkości należeli rodzice, którzy potrafili cechami charakteru dziecka wytłumaczyć jego niezupełnie zgodne z regulaminem szkolnym postępowanie. To byli rodzice, którzy swą rolę znali i ją spełniali. Gdyby dom (czyt. rodzice) więcej uwagi poświęcali dziecku, to napewno nauczyciel- rzemieślnik zostałby ze szkoły wyrugowany, a jego miejsce zająłby nauczyciel-wychowawca, nauczyciel z powołania. Rodzice są skłonni do upraszczania swej roli. Dziecko jest w szkole — przez to samo całkowita odpowiedzialność za nie spada na szkołę. A jaką ta szkoła jest? A co się w tej szkole mówi? To jest już zagadnienie dalekoplanowe i nie często dom tym się interesuje. Dziecko chodzi do szkoły, dziecko się uczy! Wobec tego całkowita odpowiedzialność ciąży na szkole, i tylko ona nasze dziecko wychowuje! Bardzo znikomy procent rodziców czuje się współodpowiedzialnym za czas, który dziecko spędza w szkole, a przez to samo i za samą szkołę! Większość uważa, że należy się szkole nie narażać, być z nią w jaknajwiększej zgodzie — i na tym ich rola się wyczerpuje! Dlatego mogłabym zaryzykować twierdzenie, że tak długo Jędruś nie znajdzie odpowiedniej szkoły, jak długo rodzice nie poczują się w równej mierze za szkołę Jędrusia odpowiedzialni jak i nauczyciele czy wychowawcy w niej pracujący. Kontakt domu ze szkołą musi być stałym, a kontrola i obserwacja dziecka przedewszystkiem musi żywo interesować rodziców! Szkoła może nam dostarczyć mnóstwa materiału odnośnie naszego dziecka, jeśli tam pracują nauczyciele z powołania, lecz sami musimy o to dbać, aby w szkole Jędrusiowej nie było nauczycieli-rzemieślników!

W.Cz.

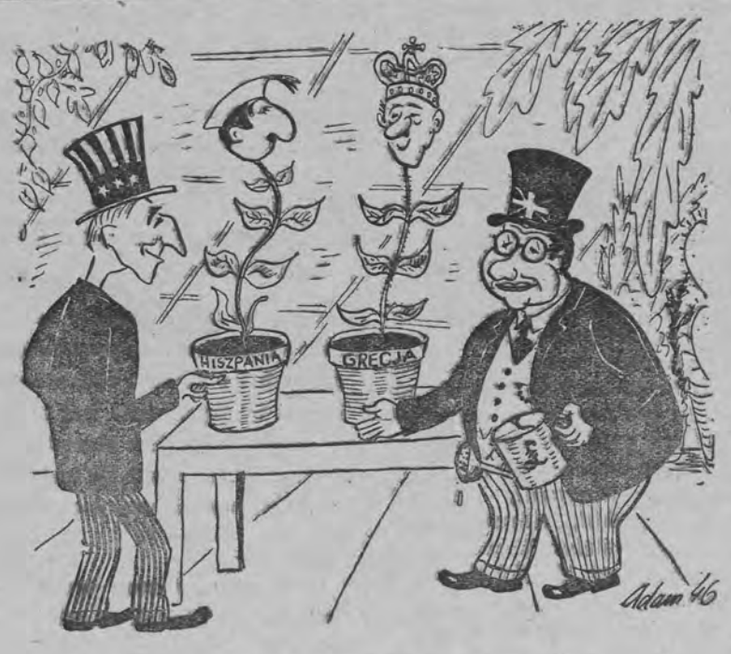

— Te dwie apiegierki musimy zostawić na nasienie!

Jak odbyła się rewolucja październikowa

W związku z 29-letnią rocznicą przytaczamy franment z „Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (Bolszewików)", zawierający opis Wielkiej Rewolucji Październikowej w Rosji.

Bolszewicy zaczęli się usilnie przygotowywać do powstania. Lenin wykazał, że po użyskaniu większości w obu stołecznych Radach Delegatów Robotniczych i Żołnierskich — w Radzie Moskiewskiej i Piotrogrodzkiej bolszewicy mogą i powinni wziąść władzę państwową w swe ręce. Reasumując wyniki przebytej drogi, Lenin podkreślił konkretny plan powstania: jak wykorzystać oddziały wojskowe, flotę i czerwonogwardzistów, jakie decydujące punkty w Piotrogradzie należy opanować, żeby zapewnić powodzenie powstania itd.

7 (20) października Lenin przyjechał nielegalnie z Finlandii do Piotrogrodu, 10 (23) października 1917 roku odbyło się historyczne posiedzenie Komitetu Centralnego partii, na którym postanowiono rozpocząć w najbliższych dniach powstanie zbrojne.

Powstanie się rozpoczęło.

24 października (6 listopada) w nocy przybył do Smolnego Lenin, który ujął kierownictwo powstaniem bezpośrednio w swe ręce. Całą noc ściągały ku Smolnemu rewolucyjne oddziały wojskowe i oddziały Czerwonej Gwardii. Bolszewicy skierowywali je bezpośrednio do śródmieścia stolicy, aby otoczyć Pałac Zimowy, gdzie obwarował się Rząd Tymczasowy.

25 października (7 listopada) Czrewona Gwardia i wojska rewolucyjne zajęły dworce, pocztę, telegraf, ministerstwa, bank państwa.

Przedparlament został rozwiązany.

Smolny, gdzie znajdowała się Rada Piotrogradzka i Komitet Centralny bolszewików, stał się bojowym sztabem rewolucji, skąd rozchodziły się bojowe rozkazy.

Robotnicy Pietrogrodcy dowiedli podszas tych dni, że przebyli pod kierownictwem partii bolszewickiej dobrą szkołę. Rewolucyjne oddziały wojskowe przygotowane dzięki pracy bolszewików do powstania, ściśle wykonały bojowe rozkazy i walczyły ramię przy ramieniu z Gwardią Czerwoną. Marynarka nie pozostawała w tyle poza armią. Kronsztadt był twierdzą partii bolszewickiej; tu dawno już nie uznawano władzy Rządu Tymczasowego. Krążownik „Aurora" ogniem swych dział, skierowanym na Pałac Zimowy, obwieścił 25 października początek nowej ery Wielkiej Rewolucji Socjalistycznej.

25 października (7 listopada) ogłoszona została odezwa bolszewików „Do obywateli Rosji". Odezwa ta głosiła, że burżuazyjny Rząd Tymczasowy został strącony, że władza państwowa przeszła w ręce Rad.

Rząd Tymczasowy ukrył się w pałacu Zimowym, pod osłoną junkrów i batalionów szturmowych. W nocy z 25 na 26 października (z 7 na 8 listopada) rewolucyjni robotnicy, żołnierze i marynarze zdobyli szturmem Pałac Zimowy i zaaresztowali Rząd Tymczasowy.

Powstanie zbrojne w Piotrogrodzie zwyciężyło.

II Ogólnorosyjski Zjazd Rad został otwarty z Smolnym o godzinie 10 minut 45 wieczorem 25 października (7 listopada) 1917 roku, gdy zwcięskie powstanie w Piotrogrodzie było już w całej pełni i władza w stolicy znajdowała się faktycznie w rękach Rady Piotrogrodzkiej.

W nocy 26 października (8 listopada) 1917 roku II Zjazd Rad uchwalił dekret o pokoju.

Tej samej nocy II Zjazd Rad uchwalił dekret o ziemi, na mocy którego „własność obszarnicza na ziemię zostaje bezzwłocznie zniesiona bez wszelkiego wykupu".

Wreszcie, na II Ogólnorosyjskim Zjeździe Rad utworzony został pierwszy rząd Sowiecki — Rada Komisarzy Ludowych. Rada Komisarzy Ludowych utworzona została wyłącznie z bolszewików. Na przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych wybrany został Lenin.

Lenin a Polska

Wielki przywódca proletariatu całego świata i twórca rewolucji październikowej Włodzimierz Lenin był wypróbowanym przyjacielem Polski i narodu polskiego. Lenin rozumiał, że niepodległość Polski jest pierwszym i podstawowym warunkiem ułożenia stosunków między Z.S.R.R. a Polską. Umysł głęboki a zarazem realistyczny Lenina widział całą zbrodnię, popełnianą przez carat na Polsce i płynące stąd skutki. Naród tak uciemiężony przez carat jak Polacy nie mógł mieć zaufania do swego wschodniego sąsiada. Broniąc się — zamykał się w obrębie własnych uczuć i form narodowych, niewolnych — rzecz zrozumiała — od urazów. Polityka Polski — pisał Lenin w maju 1917 r. — jest na skutek długiego ucisku ze strony Rosji polityką całkowicie narodową i cały naród polski nawskroś przesiąknięty jest jedyną myślą o zemście nad Moskalami. Nikt tak nie uciskał Polaków jak naród rosyjski. Naród rosyjski był w rękach carów katem nie podległości polskiej".

Piętnując ucisk Polski i propagując klęskę caratu Lenin wysuwał bezkompromisowo hasło niepodległości narodu polskiego i tę niepodległość brał za podstawę nowych braterskich stosunków. Nawiązywał w ten sposób do tradycji Marksa i Engelsa oraz haseł demokratów rosyjskich.

Lenin od rozwiązania spraw narodowych uzależniał braterswo robotników i podkreślał z naciskiem wbrew zasadom głoszonym przez Różę Luxemburg, że socjalistyczny ruch robotniczy nie może negować najistotniejszych dążeń narodowych bez ryzyka przeciwstawienia się narodowi. Bo, jeśli chcemy, aby walka przeciw caratowi aby walka przeciw reakcji była wspólna, to robotnik polski musi mieć zaufanie do robotnika rosyjskiego, musi mieć pewność, że prawo jego do całkowitego usamodzielnienia się państwowego — jest rozumiane przez proletariat rosyjski i szanowane.

Tej idei niepodległości Polski był Lenin wypróbowanym przyjacielem i głosicielem. Konsekwentnie bronił pozycji Polski, zwalczał rosyjski nacjonalistyczny szowinizm i widział w Polakach współbraci w jednym wielkim dziele, któremu na imię solidarność klasy robotniczej.

W myśl tych wyznawanych przez siebie idei Lenin położył swój podpis pod aktem, uznającym niepodległość Państwa polskiego, który to akt został wydany przez Radę Komisarzy Ludowych radzieckiej Rosji w pierwszych miesiącach jej istnienia.

Reakcyjna polityka naszych lat międzywojennych przemilczała ten dokument niesłychanej wagi. A przecież musimy pamiętać, że to nikt inny, jak właśnie „bolszewicki" Lenin, z którego reakcja międzynarodowa urobiła straszaka, ten właśnie Lenin pierwszy uznał niepodległość Polski.

Tradycje szczerej przyjaźni Lenina do Polski, akt Rady Komisarzy Ludowych, ustanawiający suwerenność naszego państwa, legły też w osnowie obecnych stosunków polsko-radzieckich. Idąc śladami wielkiego twórcy rewolucji październikowej, podejmując rzucone nam przez Lenina hasło przyjaźni — pragniemy pozostać w kole tej przyjaźni i braterstwa zgodnie z testamentem Lenina jako wolni z wolnymi i równi z równymi.

Powieściowy plon konspiracji

Okres okupacji pozostawił wyraźny ślad na wszystkich dziedzinach naszego życia. Nastroje okupacyjne wywierały piętno nie tylko w środowiskach konspiracyjnych, ale i wśród najszerszych mas gnębionej ludności polskiej. Pamiętamy wszyscy te czasy, kiedy to na ulicach, w lokalach i tramwajach mali gazeciarze wyśpiewywali jakże wzruszające w swej treści bojowe piosenki nieznanych, podziemnych autorów. Z gazetek konspiracyjnych i biuletynów czerpaliśmy wiarę i moc wytrwania, zachętę do walki z okupantem, walki, która przecież zakończyć się musiała zwycięsko. W tych czasach walki i śmierci najbardziej nawet prymitywny pod względem formy literackiej wiersz był dla nas jakże potężnym wzruszeniem, jak gorącym zarzewiem naszych uczuć patriotycznych. I jeśli myśląc o „po wojnie", obiecywaliśmy sobie wiele cudownych rzeczy na wolnej, ojczystej ziemi, to między innymi cieszyliśmy się na samo przypuszczenie tych wszystkich wspaniałych poematów, które ukażą się w druku wysupłane z zakamarków i tajników konspiracyjnych pracowni.

Dziś to „po wojnie" jest już poza nami. We wszystkich dziedzinach życia zbiorowego mamy do zanotowania wciąż nowe osiągnięcia. W dziedzinie literatury także. Lecz podczas gdy poezja wojenna czy konspiracyjna obfituje w wiele wartościowych i silnych ekspresyjnie utworów, proza niestety nie może poszczycić się podobnie chlubnym dorobkiem. Do tej pory ukazały się zaledwie dwie powieści z okresu konspiracji: „W kraju milczenia" Wojciecha Żukrowskiego i „Kamienie na szaniec". A. Kamińskiego. Ostatnio zaś znana i bardzo żywotna firma wydawnicza Eugeniusza Kuthana w Warszawie wypuściła na rynek księgarski dwie najnowsze powieści o tematyce Polski Podziemnej: Witolda Zalewskiego i Romana Bratnego. Są to właściwie nowele, lecz tematycznie tak powiązane ze sobą, że czytelnik czytając je, odbiera słuszne wrażenie ciągłości.

Dużą dramatycznością i ekspresją uczuć odznaczają się nowele Romana Bratnego. Jest coś wzruszającego w ich nieskomplikowanej prostocie. Taka np. nowelka pt. „Minuta". Temat zaczerpnięty z okresu powstania warszawskiego. W piwnicy jednego z domów, spalonego i oczyszczanego przez Niemców, ukrywa się grupka powstańców. Chłopcy są wyczerpani walką i głodem, czekają więc tylko nocy, by jakoś wymknąć się z kryjówki. Tymczasem essesmani, patrolujący teren postanawiają zbadać stare piwnice. Wtedy to do uszu zamarłych z przerażenia chłopców wpada huk wybuchów. To essesmani rzucają granaty do każdej z piwnic chcąc zbadać czy w ciemnych jej czeluściach nie kryje się któryś z „polnische banditen". Śmierć zdaje się być nieunikniona, nie jednemu nerwy odmawiają posłuszeństwa, nie jeden odbezpiecza swoją maszynę do strzału, gdy naraz młody porucznik proponuje niezwykle ryzykancki impas: przeczekać śmierć z zaciśniętymi zębami we wnęce piwnicy, przeczekać bez względu na to, co ich tam spotka. Impas udaje się. Wrzucony ręką essesmana granat zaplątuje się w zwoje gumek od pulweryzatorów fryzjerskich i eksploduje w górę, nie czyniąc nikomu krzywdy. Chłopcy są uratowani.

Nowela napisana prostym, zwięzłym stylem, wyróżnia się ze zbiorku dużą plastyką odtwarzanych wypadków, na tle których minuta wyczekiwania na śmierć urasta do momentu przeżyć nigdy niezapomnianych, przeżyć, których wspomnienie wyciska na duszy i charakterze człowieka niezatarte piętno.

Podobnie pisane są i pozostałe nowele Bratnego: „Inny brzeg", „Homer", „Zemsta", „Pamiętnik", a także nowelka psychologiczna pt. „Dramat".

Dominującą cechą stylu Bratnego jest, jak już napisaliśmy wyżej, wyraźny realizm życiowy. Obrazki kreślone piórem Bratnego, mają w sobie coś z męskiej brutalności czy też żołnierskiej surowości.

Zupełnie innym stylem napisana jest książka Witolda Zalewskiego pt. „Śmiertelni bohaterowie". Taka np. nowela „Maski" dotykająca tematu w założeniu już swym trudnego i brutalnego, bo zagadnienia zdrady, napisana jest z dużą subtelnością i delikatnością, tak samo jak i „Noce i świt".

Na tle walk powstania warszawskiego rozkwita piękna bohaterska miłość porucznika Drapacza i łączniczki Anny. W dramatycznym momencie, kiedy Anna decyduje się pójść ochotniczo na niebezpieczną wyprawę kanałami, Drapacz poznaje po raz pierwszy, że kocha Annę na pewno. Wtedy to wypowiada te proste, lecz jakże głębokie słowa: „Człowiek odnajduje się w bohaterstwie".

Sam moment wyznania miłości Drapacza Annie przedstawiony jest z uczuciem i tkliwą prostotą.

„Anna stanęła. Jej czysty wzrok zmącił się. Miała teraz spojrzenie dziecka, które odkrywa wielkie, nikomu nieznane prawdy. Była tak piękna, że zapragnął klęknąć przed nią. Przepływały przez niego jakieś fale muzyczne, wypełnił go zachwyt, jak wobec chwili stojącej na pograniczu życia i śmierci... — Anno, tak cię kocham... — szepnął".

Podobnym liryzmem przepełnione są i pozostałe nowele zbiorku. Liryzmem i plastyką, że się tak wyrażę, konturową. Odnosi się to zwłaszcza do obrazów przyrody malowanych jakgdyby szkicami, o zmroku. Przyroda u Zalewskiego jest środkiem do podkreślenia nastroju i stanu, w jakim znajduje się główny bohater, jak i otoczenia lub akcji. Jest po prostu tylko tłem, ale tłem niezwykle wyraźnym i charakterystycznym.

Nie brak u Zalewskiego też tendencji psychologicznych. Zwłaszcza w „Niezwyciężonych". Doskonały jest kontrast starego Kowalskiego, zahukanego i uległego wobec Niemców urzędnika i jego syna, młodego bojowca Polski Podziemnej. Tak ojciec, jak i syn, są dla siebie jakby wzajemnym tłem, tłem, na którym charakter tak jednego, jak i drugiego, maluje się jakby na przezroczystej kanwie. Takich Kowalskich spotykaliśmy często w okresie okupacji nie rzadko w jednych, tak jak i tutaj, rodzinach. Dlatego nie dziwi nas ani przeraża służalcza tchórzliwość starego Kowalskiego, ani też bohaterska odwaga młodego Janka. Nie dziwi nas ani tchórzliwy egoizm ojca, ani szlachetne bohaterstwo syna. Wszystko to przeżyliśmy naocznie tak niedawno, wszystko poznaliśmy prawie, że na własnej skórze. Dlatego może tematyka poruszanych w książce Zalewskiego problemów jest nam tak zrozumiała i bliska.

Tak Zalewski, jak i Bratny, są pisarzami młodymi i różny może być sąd o wartości ich pióra. Natomiast zgodzimy się chyba wszyscy co do jednego: są sprawy ważne nie dlatego jakimi są, ale po prostu dlatego, że są. Do takich spraw należy zagadnienie naszej walki z okupantem. Dlatego książki te przeczytać powinien każdy.

K. W.

POWIETRZNE TAKSÓWKI I AUTOBUSY.

Fantazja? — Nie. Już w 1947 roku mają być uruchomione w Londynie 10-cio i 20-sto osobowe autobusy powietrzne, tzw. helibusy. Konstruuje się również trzyosobowe helitaksówki. Taksówki te i autobusy są helikopterami, tak, że mogą pionowo opuszczać się na dach. Na dachach więc będą przystanki. Helibusy umożliwiają szybki przejazd do przedmieść, oddalonych o 20—30 km od miasta, a obecnie dość gęsto zaludnionych z powodu kryzysu mieszkaniowego w śródmieściu.

Łużycom – wolność!

1500 lat walki o niepodległość

Narodem, który ma za sobą 1500 lat walki o niepodległość, są Łużyczanie. Taki też tytuł nosi memoriał złożony przez Łużyczan na zgromadzeniu ONZ, memoriał, domagający się niepodległości.

Postulat ten został całkowicie poparty przez Polskę i inne państwa słowiańskie. My wiemy, co to jest niewola pod germanami, i dlatego z całą stanowczością popieramy dążenia bratniego nam narodu. Ostatnio odbył się w Poznaniu zjazd łużyczoznawczy, na którym poszczególni prelegenci oświetlali całokształt zagadnienia łużyckiego.

Zgodnie z danymi, jakie w tej sprawie otrzymaliśmy, kraina łużycka leży między Odrą i Elbą, zajmuje przestrzeń 12.541 km² i liczy ok. 1 miliona mieszkańców. Jest to pozostałość dawnych Słowian połabskich, najdalej wysunięty na zachód bastion Słowiańszczyzny.

I to właśnie decyduje, że sprawa wolności Łużyc jest naszą sprawą. Zbyt ciężko jęczeliśmy pod jarzmem germańskim, aby dopuścić, żeby jeszcze dzisiaj, gdy powalony został hitleryzm a zwycięskie sztandary aliantów powiewają nad Berlinem, żeby w takiej chwili nasi bracia słowianie cierpieli i znosili niewolę. Sprawa wolności Łużyc to sprawa wyzwolenia całej Słowiańszczyzny spod ucisku germańskiego, to wolne współżycie w jednej rodzinie słowiańskiej.

Przed ostatecznym ustaleniem warunków pokojowych dla pokonanych Niemców, właśnie teraz, gdy toczą się obrady ONZ, czas jest żądać, aby Łużyce były wolne.

Łużyczanie dość już dawno, bo w styczniu br. złożyli w Londynie na zgromadzeniu ONZ memoriał, który domaga się niepodległości dla Łużyc, gwarancji ONZ i przyjęcie Łużyc do grona ONZ, jak również wysuwa postulat uznania Łużycko-Serbskiej Rady Narodowej jako rządu narodowego i suwerennego.

Niemcy operują argumentem małej liczebności narodu łużyckiego, który z tej racji rzekomo „nie da sobie rady". Takie postawienie sprawy nie wytrzymuje krytyki. Łużyce nawet po okrojeniu ziem już zgermanizowanych, sięgających pod Łabę, mogłyby obejmować 10 tysięcy kilometrów kwadratowych z ludnością od trzech czwartych do jednego miliona. Zaludnienie tedy Łużyc równałoby się około ⅓ zaludnienia Danii. Łużyce mogą zatem być państwem dość pokaźnym, posiadającym prawo do wolnego bytu o wiele większe, niż np. takie państewka jak republika Andorra, księstwo Lichtenstejn czy Monaco. Pracowita ludność rolnicza Łużyc umiałaby umiłowany wolny kraj doprowadzić do rozkwitu. A równocześnie rozkwitałaby na ziemi, którą Niemcy uważają za nieodwołalnie swoją. Rozkwitałaby słowiańska kultura, słowiańska literatura, nauka i sztuka.

Ciekawie, że istnieją związki kulturalne Polski z Łużycami już w zamierzchłej przeszłości. Równolegle z politycznymi wpływami Polski w pierwszej połowie XI w. zaznacza się także na Łużycach wyraźne oddziaływanie kultury polskiej, wyrażające się np. w licznym występowaniu na obszarze górnych Łużyc typowo polskich naczyń glinianych. Te związki z Polską utrzymują się i w na-

stępnych dwóch stuleciach. Prehistoryk niemiecki Knorr tłumaczy tymi związkami utrzymanie się elementu słowiańskiego na Łużycach w głąb XIII w., do chwili rozpoczęcia kolonizacji niemieckiej. Także historyk Łużyc Lehmann nie może zaprzeczyć, że wschodnia część Łużyc pozostała dla Niemców niepewną posiadłością i że praktycznie biorąc była ona pod wpływem polskim. W ten sposób Polska wieków średnich, nawet w okresie rozbicia dzielnicowego, kiedy nie mogła marzyć o odzyskaniu politycznym Łużyc, spełniła jednak swą rolę obrony kultury słowiańskiej przed zagładą.

Łużce stanowiły ongiś część składową państwa serbskiego, ale dość wcześnie, bo w w. X utraciły niepodległość.

Krótko wyzwalają Łużyce Polacy pod wodzą Bolesława Chrobrego, poczem znowu zawisa nad ziemią łużycką noc niewoli. Twardo i zażarcie borykają się Łużyczanie z germanizacją. Dopiero ostatnia wojna niesie tej prastarej ziemi słowiańskiej przebłysk wyzwolenia. Druga Armia Wojska Polskiego wkracza na Łużyce. Żołnierze polscy nie mogli opanować wzruszenia słysząc za Odrą mowę słowiańską, zbliżoną do polskiej i mogąc bez specjalnego trudu porozumieć się z „tamtymi" ludźmi, powiewającymi na powitanie modro-czerwono-białymi chorągiewkami łużyckimi. Między Budziszynem a Chodziebużem usłyszano np. takie zrozumiałe dla Polaków zdanie pewnej Łużyczanki:

— Jak fligary lecjały to Antka ubiegała do lasa.

Zaraz z początku powitał żołnierzy polskich duży napis w języku górno-łużyckim, umieszczony na murze pięknego domostwa: „Tu mieszka naród słowiański Serbowie łużyccy!" Żołnierze stanęli przed nim jak na komendę w dostojnej powadze. Im dalej nasi żołnierze posuwali się w krainę łużycką tym więcej mieli powodów do podziwu. Podziwiali mowę słowiańską, która była ostoją silną dla narodu łużyckiego w dziesięciowiekowych zmaganiach z niemczyzną. Podziwiali liczne oznaki głębokiego kultu religijnego Łużyczan, krzyże przydrożne, kapliczki, kościoły o swoistym charakterze, cmentarze z grobami o napisach słowiańskich. Podziwiali efektowne zabudowania łużyckie, które otoczone wysokim murem z bramami wjazdowymi, przypominają obronne grodki. Podziwiali stroje narodowe, którymi lud łużycki odróżnia się od Niemców, podkreślając z naciskiem swą narodową odrębność.

Wojska polskie u mety swych walk z Niemcami wstąpiły na szlak Chrobrego. Naród łużycki otrzymał właśnie z rąk polskich wolność, o którą walczył bohatersko przez tysiąc lat. Przed wiekami Bolesław Chrobry przypieczętował w Budziszynie w r. 1018 swe epokowe zwycięstwo nad germanami. Teraz wierni wspólnocie słowiańskiej żołnierze polscy, krocząc tym samym prastarym szlakiem Chrobrego, pod tym samym właśnie Budziszynem zadecydowali o rozgromieniu Niemców.

Łużyce otrzymały narazie wolność. Ale chodzi o to, by ONZ niepodległość Łużyc uznała i zagwarantowała, aby mały naród słowiański wyzbył się wreszcie groźby niewoli.

WYSTAWA PRZESTĘPSTW

Angileski Scotland Yard urządził niedawno ciekawą wystawę. Eksponatami były przedmioty, które służyły do wykrycia rozmaitych przestępstw.

Na półce księgarskiej

Na czoło ostatnich wydawnictw wybija się ważnością tematu książka pióra **A. Kamińskiego** (J. Góreckiego) pt. **„Kamienie na szaniec"**, która wyszła nakładem sp. wyd. **„Wiedza"**. Książka to niebylejaka, cenna i bliska polskiemu sercu. Zawiera opowiadania o bohaterskich czynach naszej młodzieży w czasach okupacji. Na kartkach nowelistycznych roztacza się walka szarych szeregów harcerskich, snują się wzniosłe postacie dziewcząt i chłopców, którzy z narażeniem życia walczyli dostępnymi dla siebie środkami z okrutnym wrogiem. „Posłuchajcie — głosi na wstępie książka — opowiadania o Wojtku, Czarnym, Zośce i kilku innych cudownych ludziach oraz o niezapomnianych czasach 1939 — 1943 roku, o czasach bohaterstwa i grozy. Posłuchajcie opowiadania o ludziach, którzy w tych niesamowitych latach potrafili żyć pełnią życia, których czyny i rozmach wycisnęły piętno na stolicy oraz rozeszły się echem po kraju. Którzy w życie wcielić potrafili dwa wspaniałe ideały: służby i bohaterstwa". Spełniając swoje posłannictwo wszyscy ci chłopcy i dziewczęta w walce z wrogiem składali Ojczyźnie życie swoje w ofierze. Przypominają się słowa wielkiego poety Słowackiego o ludziach posłannikach: „...Na śmierć szli po kolei jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec". W tej właśnie intencji autor omawianej książki nadał jej tytuł „Kamienie na szaniec". Obecne wydanie jest trzecim z kolei: Pierwsze ukazało się w sierpniu 1943 r. Wydawcą były: Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze. Książka ta rozeszła się szybko i krzepiła wiarą i nadzieją serca polskie w najcięższych chwilach. Drugie wydanie również podziemne miało miejsce parę miesięcy przed powstaniem. Obecne — III wydanie — ukazuje się w pełnym świetle dnia, dając już świadectwo pięknego dokumentu czasu okupacji i bohaterstwa naszej młodzieży.

Nakładem również „Wiedzy" pojawiły się felietony znanej powieściopisarki **Heleny Boguszewskiej** pt. **„Nigdy nie zapomnę"**. Na gorąco i bezpośrednio zostały spisane wrażenia wielkiego przełomu: rozgromu hitleryzmu w Polsce, ucieczki armii niemieckiej i zwycięskiej ofensywy wojsk czerwonych, wreszcie pierwsze dni „rządy lubelskiego". Okres pierwszego PKWN'u, prace i sylwetki ludzi rządzących w tym czasie — oto główny ideowy temat. Autorka daje ciekawy i historyczny materiał obserwacyjny. Na jej oczach powstawał i rozrastał się rząd w Lublinie, „ludzie pierwszej stołówki w Lublinie dziś stoją na czele władz Rzeczpospolitej". — stwierdza Boguszewska. O zakresie tej właśnie „pierwszej stołówki", gdzie jadali i maszynistki i minister, opowiada powieściopisarka zajmująco i barwnie. Jeszcze w huku dział, w nawale trosk codziennych i kłopotów rodziła się nowa Polska. „Pod Warszawą — pisze Boguszewska — sroży się walka. Na Spokojnej (w Lublinie) buduje się ustrój według nowych planów, a tu sama ziemia Majdanka aż dyszy straszliwością i męką... Tak więc samo życie lubelskie wytycza nam trzy zasadnicze kierunki: męczeństwo pod okupacją, walka z hitleryzmem i przebudowa ustroju".

Nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik" ukazała się powieść **Jana Dobraczyńskiego** pt. **„W rozwalonym domu"**. Został tu podjęty temat powstania warszawskiego. Autor ukazuje na przykładzie jednego posterunku zmagania obrońców Warszawy, wielkość tej walki. Obraz powstańczej stolicy ukazany we fragmencie, oddany został w sugestywnej artystycznej formie, i z całym pietyzmem dla ofiarnego bohaterstwa. Niewątpliwie „W rozwalonym domu" stanowi jedną z najlepszych pozycji w beletrystyce o powstaniu warszawskim.

POWRÓT

Trzeszczy pod lat brzemieniem ludzki pułap barków
O, jakże jednak ciężki samotny chleba snop...
Młodych niema: w niewoli nadstawiają karki...
Ramiona dziewczyny nie zastąpią chłopa.

— — — — — — —

Bruzdami czoła słońce ścieka smużką potu,
Łącząc człeka braterstwem że spragnioną ziemią —
Słońce spala się w kłosach zbóż pachnącym złotem
I ciężarną ciecz wody w nieważką mgłę zmienia.

— — — — — — —

Kominem cichej chaty w anemicznym dymie
Ulatuje bolesne westchnienie staruchy —
Nerwowo sporządzają rączki małej wnuki
Strawę z ziół, której babcia już pewnie nie przyjmie...

— — — — — — —

Jak ptak ciężko raniony, z pobielałych warg
Oderwał się krzyk ludzki, bijąc w głuche niebo:
Zamknijcie okna! Więcej czekać nie potrzeba...
On powrócił — spokojny, cichy i bez skargi...

— — — — — — —

Z pola wraca uśmiechnięty, jak smutny błazen,
Ojciec. Na stole pod przyciskiem żałoby list...
List z Mauthausen.

J. Śliżowski.

WYZWOLENIE

Łomocą i warczą żelazne kadłuby,
A serce motoru stukocze i grzmi,
Wirują zawrotnie kółeczka i śruby
Maszyna oddycha miarowo i drży.
Turkocze i dudni i świdrem się wwierca
Przez bryły śpiżowe, żelazne, przez stal,
Do mózgu się wdziera, przez pierś, aż do serca
I prędzej, i prędzej wymyka się w dal.
I pędzi, i szumi, i drga, i dygoce,
Zazębia się koło o koło i wgłąb
Świdruje przez duszę i w skroniach łomoce
I zębem, ze zgrzytem, wpijając się w ząb.
Wnętrzności rozdziera i szarpie na części
Rozgniata i miażdży na wióry, na pył!
Z szyderczym poświstem rozgryza skurcz pięści
I żłopie krwi strugę, co leje się z żył.
I dalej, i dalej wciąż kręcą się tryby.
Powietrze przecina ich łoskot i zgrzyt.
A kędyś ukradkiem, przez ciemność, przez szyby
Przedziera się nagle mgła szara — to świt.
Spogląda dokoła spojrzeniem stalowym.
Czerń nocy umyka i kryje się hen.
Maszyna wciąż dyszy oddechem miarowym
A z kąta leniwie podnosi się sen.
A nagle... przeciągły, radosny i długi
Głos rannej syreny do serca się wdarł.
Wraz z nim się wsączyły jaskrawe dnia smugi,
Z ust okrzyk się zerwał, dygotał i marł...
Wtem, cisza... dzwoniąca, pijana, szalona!
Buchnęła do serca burząca się krew.
Prostują się, prężą zbolałe ramiona,
A w duszę się wlewa świst syren i śpiew.
Śpiewała ulica dzwonkami tramwajów,
Stroiła się wiosna w zieloność swych szat.
Wiatr przyniósł melodię słonecznych wyrajów
I serce wraz z wiatrem pobiegło gdzieś w świat.

Barbara Fuchs-Skowrońska

Muza w pasiakach

Pieśń i poezja obozów koncentracyjnych? Czyż jest rzeczą możliwą, aby w siedliskach zbrodni i nędzy ludzkiej, jakim był każdy obóz niemiecki, znajdowało się jeszcze miejsce na wątłą plonkę sztuki? I jaką siłę mogło mieć piękno tam, gdzie wszystko było odczłowieczeniem, upiorną grozą i brzydotą? Gdzie więzień był tylko numerem i zbywszy się cech indywidualnych wsiąkał jak w brudną mgłę w szarą jednostajną masę swoich współtowarzyszy?

A jednak ci, którzy przeżyli obozy, pamiętają, że wyżej niż dym krematorium wznosiła się tęsknota ludzka i pragnienie wolności. Im straszniejszy koszmar dławił piersi, tym mocniej tym goręcej biło nieśmiertelne serce człowieka. W surowym regulaminie śmierci, jaki stanowił każdy dzień obozowy, znalazły się liryczne szczeliny i tym samym niedostrzegalne kontakty ze światem. Wolność dom i ojczyzna — syciły wyobraźnię więźnia i rodziły tęsknotę, przybrane następnie w słowo lub dźwięk piosenki.

Tak oto z tych najtragiczniejszych, głęboko ludzkich źródeł rodziła się sztuka obozowa. Powstawało słowo, mierzone nie wartością szkół poetyckich, nawet nie miarą talentu, lecz słowo sprawdzane prawdą. To wszystko, co odbijało los więźnia a chwytało najtajniejsze uczucia, co stanowiło żywą mowę wzruszeń obozowych, co stawało się niejako językiem niemej z bólu masy ludzkiej — to wszystko przemawiało w poezji i ulegało rozpowszechnianiu. W pamięci lub na skrawkach papieru przechowywali więźniowie wiersze obozowe, zaklęte znaki uczuć ludzkich, liryczne dokumenty i dowody obecności „duszy człowieczej" w każdej najtrudniejszej nawet sytuacji.

Niekiedy słowo wierszowane spopularyzowała się o tyle, że aż prosiło o nuty Tak powstawały piosenki, nucone z cicha lub jawnie śpiewane zależnie od okoliczności.

Tamatyka tej muzy w pasiakach była najrozmaitsza. Nic, co ludzkie, nie było jej obce. Ale główne jej zadanie polegało na tym, że mimo trwającej kategorii lat utrzymywała ona kontakt psychiczny i uczuciowy więźnia z wolnością t. zn. z ojczyzną i domem. Wizja tych rzeczy i spraw najbliższych nie opuszczała więźniów nigdy „Jeśli przymknąć oczy, buduje pamięć wieżę Mariacką, bramy domu i ciepły spokój..." — mówi poeta więzień Oświęcimia **Tadeusz Hołuj.**

Tęsknota za wolnością konkretyzowała się w kategoriach najbliższych każdemu więźniowi: dom i rodzina. Tutaj biegło resztką sił strudzone serce, tutaj szły myśli i westchnienia. Gdyby można było swobodnie chociaż list do matki napisać, gdybyż można było wypowiedzieć obozową prawdę.

W obozie koncentracyjnym Guzen bardzo popularna była piosenka **Wacława Gazińskiego** pt. „Mamo". Śpiewał ją na pocieszenie zbolałych i stęsknionych serc znany śpiewak Warszawy o podówczas również więzień Guzen Tadeusz Faliszewski. Piosenka ta tak trafnie ujmowała istotę stosunków domu do więźnia, że zyskała aż 7 przekładów na języki obce. Stała się międzynarodową pieśnią podobnie jak międzynarodowe jest uczucie miłości do matki. Muzykę napisał także Gaziński, o którym należy powiedzieć parę słów. Bezsprzecznie uzdolniony chłopiec, choć bez większej wiedzy i kultury, Gaziński zasłynął szybko w obozie jako muzyk, śpiewak, rzeźbiarz i potrochu poeta. Napisał wiele rzeczy. Piosenka „Mamo" jest najlepszą. Niestety, autor nie wrócił do Polski, tak samo jak i jej wykonawca Faliszewski. Naskutek tego piosenka omawiana nie doznała rozpowszechnienia w kraju. A szkoda. My więźniowie Guzen, pamiętamy dotąd słowa, tęsknie nucone przez popularnego śpiewaka: „Bo kiedy Twoja dłoń tuliła moją skroń ulatał smutek i żal".

W obozach przebywało setki tysięcy mężczyzn i kobiet. I jakkolwiek pod grozą życia obozowego i na skutek surowych regulaminów w tym względzie zamierało życie erotyczne, to przecież widok dziewczyny a szczególnie dziewczyny z wolności budził niekiedy w sercu więźnia wspomnienie miłości, sugestię żywych uczuć. Posłuchajmy wiersza poety więźnia obozu janowskiego pod Lwowem Maksymiliana Borwicza pt. **„Erotyk"**

Więźnia przechodzącego z mumerem na plecach
nie przywołuj, dziewczyno, uśmiechu orędziem
Pachniesz skutą młodością i twój wzrok podnieca,
łatwo mógłbym ci ulec, i — co wtedy będzie?

W katowni cierpień tylko być mogą uściski:
porywcze, jak przystało na progu nicości,
roztargnione czuwaniem, by oprawca bliski
nie wytropił kryjówki „bezczelnej" miłości.

Nie pójdziemy, dziewczyno, miedzami za miasto,
Zapach świeżej bezmyśli piersi nie poszerzy.
Wprowadzę cię najwyżej w piwnicę gdzieś ciasną,
do lochu czy komórki. Będziem smutnie szczerzy.

Zamiast radia — wystrzałów odgłos nieparadny.
Zamiast kwiatów — mdły zapach dławiący wilgocią.
Żadnych marzeń, dziewczyno, i przyrzeczeń żadnych.
Żadnych planów na jutro nie nasze, bo — po co?

Za sobą mając cmentarz i przed sobą cmentarz,
bezsilnością przebici w tym za życia grobie,
ja i ty wiesz, dziewczyno: żadnym „czy pamiętasz?"
nie wypomnisz tych pieszczot, ani ja ich tobie.
W ciało twoje niewolą nabite się wpiję,
Ty zaś leżąc w ciemności, na skrzyniach i derce,
wspomnisz trupa. Zrozumiem wtedy, że miłujesz
nie by serce radować, lecz by kłamać serce.

Wychodząc do pracy poza obóz więzień spotykał się z przyrodą. Po szarości i szpetocie bloków rozkwitały wokół pola i drzewa. biło barwne żywe piękno. Na ten widok w duszy więźnia zrywał się poprostu dziki poryw wolności. Droga polna wabiła w dal, unosiła myśl do ojczyzny.

O gdybym poszedł drogą polną — oto częste marzenie i częsty temat wierszy obozowych.

Temat ten narzucał mi sam przez się. Poprostu, gdy wracało się latem do obozu z zewnętrznego „kommanda", pierś nabierała oddechu rozkwitłych pól, oczy piły widok soczystej zieleni a tęsknota sama podpowiadała słowa. Wedle tej właśnie wszystkim znanej „recepty" ułożyłem w Guzem wiersz o urojonym marzonym powrocie do kraju.

A gdybym poszedł drogą polną
między przestrzenią a przestrzenią
i zrywał ręką wreszcie wolną
splątany dziko wiatr z zielenią —
rozradowany, rozśpiewany
poszedłbym drogą i nie drogą,
byleby dojść, gdzie nasze łany
podadzą ustom żytnią błogość.
Byleby stanąć na tych miedzach,
które jak blizny kraj nasz znaczą,
że tu był bój i czarny przedział
między wolnością a rozpaczą.

To są pierwsze zwrotki wiersza „A gdybym poszedł", do których wspomniany już kompozytor obozowy Gaziński ułożył muzykę.

Pragnienie wolności rodziło bunt. Przeciw niemieckiej zbrodni, przeciw dymom krematoryjnym i grozie lat. Gdy nawet padali ludzie każdy trup obowiązywał jak przysięga zemsty. Tak powsta-

Dokończenie na str. 13

Łódzkie ghetto

Pewnego dnia otrzymuję pierwszy gryps w paczce od siostry, przebywającej z matką w Wiedniu. Gryps dobrze zamaskowany w krawędzi pudła. Siostra pisze o ofensywie na Zachodzie, o zbliżającym się wyzwoleniu: „Jeszcze tylko trochę wytrzymaj".

Uczę się grypsu na pamięć i pędzę do Zosi na spotkanie z Wackiem. Śmiejemy się teraz z nagromadzonego drzewa. Tym razem nie uda się, po prostu nie zdążą.

Wacek także zaciera ręce po ostatnim komunikacie, który udało mu się podsłuchać.

— Powiadam ci, że my ich trupy będziemy palić tym drzewem.

Zocha stojąca na „torwasze", krzyczy od drzwi:

— Słuchajcie, kupa ludzi wali do rampy.

Radosny nastrój pryska. Czyżby znów Warszawa?

Przyjechało łódzkie ghetto. Zaczyna się koszmar od nowa. Przechodzą obok ludzie-szkielety. Po pięciu latach zamknięcia za murami, głodowania i ciężkiej pracy — oglądają znów lasek brzozowy, nie wiedząc o tym, że to ich ostatnia wędrówka.

W tumanach kurzu unoszącego się spod gałęzi leszczyny przechodzi znów obrośnięte, dzikie, z oczyma wbitymi w ziemię Sonderkommando. Za nim wiozą drzewo, niosą drzewo, dźwigają niezliczone ilości drzewa. Przed nimi karetka Czerwonego Krzyża. Po godzinie wybuchają płomienie z krematorium. Po dwóch godzinach ciemny, gryzący dym snuje się z dołów i rowów. A potem uderza do głowy obezwładniający trupi zapach i swąd palonych ciał ludzkich.

I nigdzie nie można uciec od tego, ani skryć się choćby na chwilę. Pochylam ciężką głowę nad pamiętnikiem młodej Żydówki z ghetta łódzkiego. Pamiętnik jest świeży „jeszcze ciepły" — jak mówi Maryla, która go odnalazła. Ostatnie słowa są pisane przed kilkoma godzinami w zatłoczonym pociągu, jadącym do Oświęcimia. A autorka pamiętnika właśnie teraz, gdy czytam te słowa, pali się w pobliskim dole krematorium. Ostatnie słowa brzmią: „A teraz jedziemy do nieznanego kraju. Jaki on będzie. Cokolwiek się stanie, wszędzie jest lepiej, niż było tam za murami... Przeklinam każde wspomnienie tego piekła. Przeklinam tych wszystkich, którzy wysługiwali się zbrodniarzom. I mój wiecznie ciemny, zimny, nagi pokoik przy ul. Brzezińskiej i ten mur nieszczęsny, dzielący nas od reszty świata, i naszą nędzę nieopisaną, i miarowy stukot trepów nad ranem, gruźlicę i tę straszną Kriminalpolizei, nogi się uginały na sam ich widok. Przeklinam to miejsce bez skrawka zieleni, gdzie przepadły moje najpiękniejsze lata, gdzie umarli moi najbliżsi, gdzie oddałam wszystkie swoje siły śmiertelnemu wrogowi — w zamian za bon żywnościowy.

Piszę w ciasnym kąciku, w świetle jasnej smugi, wpadającej przez szparę do wagonu. Nic nie jadłam i nie piłam dwa dni. W naszym wagonie jest kilka trupów. Ale to nic, najważniejsze, że jedziemy... po tylu latach jedziemy znów pociągiem, a przez szparę widać złociste snopy zboża".

***

Przed Saunę zajeżdża limuzyna. Wysiadają — piękny dr. Mengerle i Kramer.

Basia i Nella wychodzą na zwiady. Jaki cel tej niezwykłej wizyty. Nie chowam jednak pamiętnika i zaglądam do innego zeszytu, należącego do tej samej dziewczyny. Znajduje tam wiersze. Wiersze najsmutniejsze, wiersze z życia ludzi trędowatych. Wiersze o głodzie, prześladowaniach. Wiersze o tryumfie, zbrodni i pysze. Wiersze mściwe, o władcach pieniędzy i fabrykach broni, o bogach ghetta.

Znajduję cudny wiersz, błogosławiący żółte światło latarni stojącej za murem. Latarnia ta, latarnia z innego świata przenika w ciemny kąt poetki z ghetta i pozwala jej tworzyć.

Wreszcie czytam ostatni wiersz. Wiersz napisany pod wpływem plakatów obwieszczających wyjazd w nieznane... Wiersz pełen nadziei, jedyny wiersz radosny, wiersz — wytchnienie. Stale powtarzający się motyw uderza mnie i brzmi w tej chwili szyderczo i makabrycznie:

„Pataj, pataj,
pojedziemy w piękny kraj..."

Basia, która wróciła właśnie z wywiadu, nachyliła się nade mną: znów selekcja, strach patrzeć.

Wychodzę. Za Sauną rozbierają się kobiety z ghetta. Dr. Mengerle w asyście Kramera i hauptscharführera Hahna przeprowadzają selekcję. Maleńka grupa kobiet o średniej tuszy stoi po stronie „życia". Mengerle wyciąga je z przechodzącego szeregu nagich kobiet. Olbrzymia reszta, kilkaset kobiet wychudzonych już się na nic nie przyda Wielkiej Rzeszy, setki kobiet, dla których szkoda lagrowej porcji i jedzenia przechodzi w stronę krematorium... Idące gęsiego, zawstydzone, wpółprzytomne. Dziewczynę niesłychanie chudą, przechodzącą teraz obok nas widzimy dokładnie. Rozgląda się jak szczute zwierzę, nie dostrzega nikogo, stoi i krzyczy:

— Ludzie! Gdzie są ludzie?

Nikt nie odpowiada. Dziewczyna krzyczy dalej...

— Hej! Cały świat zwariował. Cały świat zwariował.

Stoi i nasłuchuje. Kulimy się za barakiem. Dziewczyna zaczyna biec szybko, coraz szybciej. Wychylam się i widzę jak przeciska się przez grupę nagich kobiet, jak toruje sobie wejście do komory gazowej...

„Pataj, pataj, pojedziemy w piękny kraj"...

Krystyna Żywulska

Z książki pt. „Przeżyłam Oświęcim" wyd. „Wiedza"

Muza w pasiakach

Dokończenie ze str. 12

wała groźna i nieubłagana „sprawa męska". Wierszem nawołuje do walki wymieniony już poeta T. Hołuj.

Nie uwolni cię żaden bóg.
Trwać — to znaczy walczyć bez niego.
Sprawa męska — być sobą tu,
gdzie się bogom mówi — kolego.
Chorzy wlokąc brzemienny brzuch
patyczkami wołają nóżek:
pokarz klęską, jeśliś jest bóg
wroga mego, obłędną burzę.
Gaz i kule. A ręce puste
tkwią w obozie jakby niewypał.
Jeszcze biała od żaru ruszta.
Jeszcze głucho, Wołgi nie słychać,
Na co liczyć na wyspie złej
góry święte składając z trupów.
Co jest większe niż nasza śmierć
wpełzła w szaroniebieski mundur.
Rękom — broń, stalowe wiosło,
sercom męskim na próżno skarga,
mocny, będzie — nie czekał — rosnął.
Lata, lata. Niech będzie walka

W najcięższych latach lecz w radosnym przeczuwaniu wolności powstał w obozie koncentracyjnym Guzen marsz, zaczynający się od słów „Już przebrzmiał grom i świat odmienia twarz, ojcowski dom czeka na powrót nasz"... Marsz Guzenowców napisał śp. **Konstanty Ćwierk**, muzykę do niego ułożył **Gracjan Guziński**. Dla dodania sobie otuchy śpiewali tę pieśń więźniowie i przy jej dźwiękach opuścili też mury obozu.

Teraz przyszły inne pieśni, bo życie tworzy dalej swoje nieśmiertelne dzieło: pracę, miłość i radość. Dzieło wolności obejmuje nas i porywa do pełnych ludzkich czynów. Jak zły koszmar, jak bez gwiezdna noc pozostały za nami lata obozu. Ale i one świadczą, że serce człowieka jest niezłomne, że w najcięższych chwilach rodzi piękno, nadzieję i bunt. Słowa, które te uczucia zawarły w formę skromnej prostej lecz przejmującej twórczości, godne są pamięci. Zbierajmy i utrwalajmy pieśni i wiersze obozu!

Grzegorz Timofiejew.

List otwarty do episkopatu polskiego

Drukujemy poniżej list otwarty Głównego Zarządu Ligi Kobiet skierowany do ks. kardynała Hlonda, w związku z wypadkiem jaki miał miejsce w woj. Białostockim. (red.)

Zarząd Główny Społeczno-Obywatelskiej Ligi Kobiet głęboko wstrząśnięty tragicznym uprowadzeniem instruktorki Ligi, Stefanii Roszkowskiej i powodowany głęboką troską o losy narodu polskiego, zwraca się do Episkopatu, z prośbą o dokładne zapoznanie się z przebiegiem zajścia we wsi Łubin Kościelny i zajęcie stanowiska w tej sprawie.

We wsi Łubin Kościelny pow. bielskiego, woj. białostockie, zostało zorganizowane koło gminne Ligi Kobiet, do którego weszły wszystkie kobiety wiejskie. Praca prowadzona przez Ligę zapowiadała się i szła jak najlepiej do momentu, kiedy ksiądz tamtejszej parafii wezwał kobiety do wystąpienia z Ligi, ponieważ jak się wyraził, jest to Komsomoł. Zarząd Powiatowy Ligi Kobiet bezpośrednio po tym fakcie wystosował do księdza pismo wyjaśniające ideologiczne i społeczne założenia Ligi i proszące o odwołanie słów rzuconych z ambony. Ponadto do wsi Łubin Kościelny wysłano instruktorkę Ligi Stefanię Roszkowską dla wyjaśnienia sprawy na miejscu. Natychmiast po przybyciu do wsi Roszkowska została zabrana przez przybyłych z lasu bandytów, mimo tłumaczeń, że zostawiła bez opieki dwoje małych dzieci.

Znając metody tego rodzaju wystąpień, należy przypuszczać, że Roszkowska nie żyje. Mąż Roszkowskiej zginął w czasie działań wojennych. Roszkowska pozostawiła dwoje dzieci w wieku 3 i 5 lat.

Czy uprowadzenie matki dwojga dzieci, które pozostały obecnie bez żadnej opieki jest godziwym sposobem walki politycznej? Czy fakt ten nie powinien wstrząsnąć sumieniem narodu?

Uważamy, że stanowisko, jakie zajął ksiądz ze wsi Łubin Kościelny wobec Ligi Kobiet, a które stało się bezpośrednią czy pośrednią przyczyną uprowadzenia Polki-patriotki, bezpartyjnej kobiety, jedynej żywicielki osieroconych dzieci, było niezgodne z etyką chrześcijańską.

Społeczo-Obywatelska Liga Kobiet nigdy i nigdzie nie występowała przeciwko religii. Większość naszych członkiń, to wierzące katoliczki. Sztandary Ligi są poświęcane, w wielu miejscowościach koła Ligi współpracują z miejscowym duchowieństwem. Ani nasza praca społeczna ani nasza ideologia nie stoją w sprzeczności z zasadami wiary chrześcijańskiej. W naszej pracy społecznej dążymy do tego, by każda kobieta polska zdobyła się dzisiaj na ruinach i zgliszczach naszego kraju na wielki wysiłek twórczy budowy nowego życia. Chcemy wychować nowe, młode i zdrowe pokolenie, wolne od gruźlicy, nędzy i niedostatku. Chcemy budować szkoły i domy dziecka, żłobki i przedszkola, warsztaty, spółdzielnie i szkoły zawodowe dla kobiet, chcemy pomóc kobiecie wiejskiej i dać je możność korzystania z tych udogodnień, jakie ma dziś wiele kobiet w mieście. Chcemy pomóc wszystkim kobietom wsi i miast w ciężkiej pracy połączenia obowiązków matki, gospodyni domu, pracy społecznej i zawodowej.

W naszej akcji społecznej występujemy przeciw temu, co jest dla każdej kobiety matki największym nieszczęściem i klęską życiową, gdyż odbiera jej dziecko. Występujemy przeciwko wojnie i walkom bratobójczym: przecież wojna, to znowu śmierć milionów ludzi, ruina gospodarki i dobrobytu narodów, które z takim wysiłkiem, kosztem ciężkiej ludzkiej pracy odbudowują zniszczone miasta i wsie.

My chcemy, aby nowe pokolenie rosło i rozwijało się w duchu umiłowania pokoju, w duchu braterstwa między narodami, w poszanowaniu praw każdego człowieka, niezależnie od jego rasy, narodowości i wyznania.

Występujemy przeciwko walkom bratobójczym, gdyż uważamy, że nie po to tylu nas zginęło na polu walki o niepodległość, w obozach koncentracyjnych i kaźniach gestapo, aby ci, co pozostali przy życiu, ginęli z rąk kainowych.

Dążymy do tego, aby wychować młode pokolenie tak, aby zrozumiało ono, czym jest jedność własnego narodu, gdyż tylko jedność narodu może zapewnić szybką odbudowę kraju ze zgliszcz i ruin, a tym samym stworzyć warunki dla szczęśliwego rozwoju naszych dzieci.

Wiemy o tym, że przedstawiciele Kościoła Katolickiego w Polsce wiele ofiar ponieśli w walkach o niepodległość, niosąc pociechę religijną walczącym partyzantom lub ginąc w więzieniach, obozach koncentracyjnych i walcząc na barykadach Warszawy. Duchowieństwo polskie dało wiele przykładów najpiękniejszej miłości bliźniego i poświęcenia.

I dlatego zwracamy się dziś do Episkopatu Polskiego z prośbą o wyciągnięcie głębokich konsekwencyj z tragicznego zajścia we wsi Łubin Kościelny, zakończonego uprowadzeniem bezbronnej matki.

Wierzymy, że Duchowieństwo Polskie, potępiając mordy bratobójcze, wystąpi przeciwko tym, którzy je organizują.

Wierzymy, że z ambon kościelnych nie będą padały słowa skierowane przeciw organizacjom pracującym dla dobra Narodu.

PRZYSŁOWIA STAROPOLSKIE W MAŁŻEŃSTWIE

Co mąż, to wąż; co żona, to męczeńska korona.

***

Dobrze czasem gdy mąż ślepy, a żona głucha.

***

Gdzie mąż się ze żoną kłóci, niech trzeci między nich palca nie wtyka.

***

Mąż bez własnego zdania, nocleg bez posłania, most bez poręczy — gorsze niż sen zajęczy.

***

Kiedy sam głupi, a zaś mądra ona — tam niech mąż żoną, mężem będzie żona.

***

Groźny na żonę, kto nie ma własnej żony.

***

Jak ogień różni się z wodą, tak i stary z żoną młodą.

(„Sunday Dispath")

Nasz felieton

ŁATWY ZAROBEK

Po „Białym Tygodniu", podczas którego wysprzedawałam rzeczy co wartościowsze — stopa życiowa w moim domu znacznie się podniosła: mąż zaczął mieć wymagania a propos jabłek, a mnie doktór kazał pić sok z marchwi. Po dwu tygodniach forsa się skończyła, a stopa życiowa nie chciała spaść z arystokratycznych wyżyn.

Zaczęłam dumać nad nowym sposobem zarobienia grosza, ale żaden nie okazał się aktualny ze względu na uczciwość. A ja chowana w domu praktykujących katolików nie chciałam mieć wyrzutów sumienia.

A stopa życiowa ciągle mi dokuczała. Postanowiłam wreszcie zejść z uczciwej drogi i zająć się handlem.

Właśnie po pracy zawodowej zostałam by montować pudełko, w którym chciałam sprzedawać papierosy, kiedy wszedł szef. Po zapoznaniu się z moją czynnością tudzież jej celowością, rzekł po prostu, że da mi pracę. Lekką pracę z dużym zarobkiem.

Następnego dnia zaczęłam pracować. Stałam się akwizytorką ogłoszeń do pism. Praca odpowiadała mi bardzo ze względu na pokrewieństwo z moim zawodem dziennikarskim. Oprócz tego, że miałam zbierać ogłoszenia — moim obowiązkiem było w razie potrzeby redagować je.

Poszłam w ruch. Ułożyłam sobie formułkę, którą powtarzałam we wszystkich sklepach, spółdzielniach, wędliniarniach, hurtowniach, u rzeźników i księgarzy itd. Okazało się, że mam talent. Aczkolwiek z rzeźnikami miałam stosunki polegające jedynie na konsumowaniu ich wyrobów, to jednak potrafiłam w małym ogłoszeniu powiedzieć wszystko o doskonałości kaszanki, zaletach baleronu i doniosłości niskich cen.

Po tygodniu nie umiałam już nic innego robić. Po następnych kilku dniach stałam się nieprzytomna. W pracy myliłam się ciągle i powtarzałam zalety reklamy. Po każdym „dzieńdobry" zaczynałam deklamować swoją formułkę. Na różne pytania telefoniczne podawałam ceny i rozmiary ogłoszeń. W domu obraziłam matkę, bo na pytanie, kiedy dam pieniądze na obiad — powiedziałam, że po przedstawieniu mi numeru dowodowego z rachunkiem. Praca okazała się lekką do tego stopnia, że musiałam zachować z nią proporcję i schudłam 4 kilo. Na pytania znajomych, dlaczego tak źle wyglądam, odpowiadałam, że to wina złej reklamy i proponowałam im ogłaszanie się w gazecie. Moja dobra koleżanka przyszła mi kiedyś powiedzieć, że po mieście kursują plotki na temat mojego stanu umysłowego.

Najgorzej jednak było w nocy. Śniło mi się ciągle, że proponuję ogłoszenia. Rozmawiałam z właścicielami firm, które wyszukiwałam w książce telefonicznej, podawałam ceny, umawiałam się na pewne dni.

Jednego dnia budzę się wcześnie i widzę, że mój mąż już nie śpi. Nim otworzyłam usta, żeby go zapytać, czy nie jest chory on zadał mi pytanie: „słuchaj, kto to jest pan Iksiński?"

— Nie wiem, nie znam — odrzekłam zdumiona.

— Nie znasz? Ciekawe! A jednak musi cię interesować, skoro nawet przez sen umawiasz się z nim na 4 po południu w piątek. I co ty mu dajesz za 1 tysiąc złotych w ramce, co ma najmniejszy rozmiar i kosztuje tym razem tak samo, co w dni powszednie mimo, że to jest niedziela.

Okazało się, że mówiłam przez sen o ogłoszeniach.

Mąż poszedł ze mną do pracy, żeby się przekonać o prawdziwości moich relacji i o charakterze mojej pracy.

W rezultacie jego rozmowy z moim szefem wyleciałam z tej „lekkiej" posady. Wypłacili mi 5 tysięcy złotych tytułem prowizji od zebranych ogłoszeń.

1000 złotych zapłaciłam za zdarte zelówki, 300 wizyta u doktora psychiatry (po znajomości), 300 złotych środki uspakajające, 200 złotych wizyta u doktora chorób płucnych (po znajomości), 1500 złotych zastrzyki wzmacniające, 200 złotych aspiryna, kodeina i terpentyna.

Reszta — podtrzymanie stopy życiowej.

ZO—TA

Praktyczne wskazania dla gospodyń

Wiele gospodyń napotyka w prowadzeniu gospodarstwa na liczne drobne nieprzewidziane trudności. Podajemy tutaj trochę tajemnic, które niech wzbogacą wiadomości nawet doświadczonych gospodyń.

Stare, zjełczałe czy gorzkie masło przetopić,, dodając obrane ze skórki i oczyszczone z pestek jabłko. Po przetopieniu — masło będzie jak świeże.

Kawa czarna zyskuje na smaku i wydajności, jeżeli dodać do niej trochę kakao lub wanilii.

Cebula traci swój ostry zapach, jeśli się ją przed obieraniem potrzyma trochę w bardzo gorącej, potem zimnej wodzie. Można ją wówczas obierać bez obawy łzawienia.

Zupa przesolona. Do przesolonej zupy kładzie się kawałeczek wygotowanej gąbki na 10 minut. Jeśli po upływie tego czasu zupa jest jeszcze zbyt słona spłukuje się gąbeczkę pod kranem i powtarza zabieg jeszcze raz. Zwykle jednak po pierwszym razie zupa jest już gruntownie odsolona.

Szklane korki mocno tkwiące, wyciąga się, wpuszczając parę kropel oliwy jadalnej. Korek gdyby nie chciał od razu ustąpić — nagrzać.

Nieprzyjemny zapach tytoniu z pokoju usuwamy, zawieszając na noc mokrą gąbkę, lub szmatę.

Szkła okularów, żeby nie zachodziły parą, należy posmarować gliceryną zmieszaną z szarym mydłem i przetrzeć suchą szmatką.

Gdy tłuszcz lub mleko wykipi na płytę, trzeba posypać mokre miejsce solą, lub popiołem, dla uniknięcia nieprzyjemngo zapachu.

Węgiel, aby nie spalał się zbyt szybko należy posypać solą.

Szuflady zacinające się należy posmarować mydłem.

Pieczywo świeże kraje się bardzo trudno. Możemy je bardzo łatwo pokroić, jeżeli nóż przed użyciem mocno rozgrzejemy.

Listki herbaciane, po użyciu esencji można posypać na ziemię do doniczek;— są dobrym nawozem i utrzymują dłużej wilgoć.

Prenumerata „Pobudki" (wraz z odnoszeniem do domu) miesięcznie zł 12, kwartalnie zł 35.

CENY OGŁOSZEŃ. Drobne: za wyraz petitowy poza tekstem 5 zł. Inne ogłoszenia: za milimetr — szpaltę poza tekstem zł 14.—, w tekście zł 21.—

Redagują: St. Juszczyk. G. Timofiejew. H. Wachowicz Wydaje Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi.

Redakcja: Łódź. Piotrkowska 68. front II p., tel. 112-54. Godziny przyjęć 12—13. Rękopisów nie zwraca się.
Administracja: Łódź. St. Jaracza 45 tel. 141-47. Skrytka pocztowa nr. 7. D-09702
Odbito w Druk. „Czytelnika" w Łodzi, Żwirki 2.

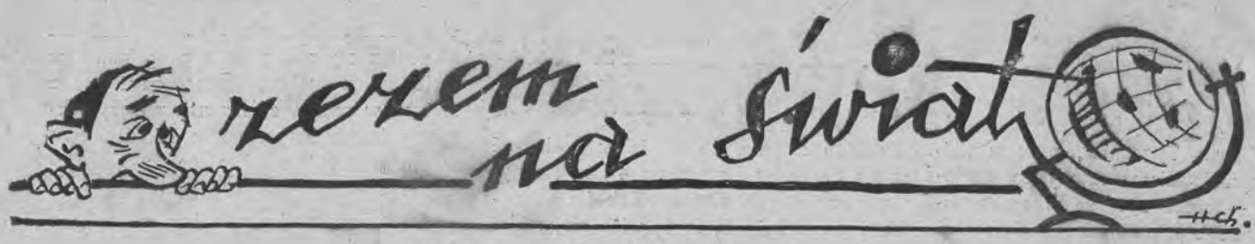

STRAWA DUCHOWA

Kulturalnej rozrywki, uważacie, zachciało się mojej żonie... Strawy duchowej, że tak powiem... Powiedziała, uważacie, że jeśli żyjemy w nowych czasach, i że jeśli, uważacie, masy i szary obywatel i realizm i nowa, niefałszowana kultura, to ona — część składowa tych szerokich mas, musi też brać udział w konsumowaniu tych dóbr intelektualnych, uważacie, i — wogóle...

Mówiła, uważacie, jak referent Urzędu Informacji i Propagandy, albo przewodnicząca wiecu publicznego, zorganizowanego z okazji imienin obywatelki aptekarzowej w Mikutowie, że tak powiem. I przez trzy tygodnie tak mnie męczyła. Przed śniadaniem, po śniadaniu, gdy wychodziłem z domu, gdy wracałem do domu i nawet przez sen wykrzykiwała takie mądrości, jak: teatr dla mas!... literatura dla wszystkich!... poezja to nie jest proza!... i — wogóle!...

Mój portret, który od dnia naszego ślubu wisiał na ścianie w naszej sypialni — zdjęła i powiesiła zdjęcie Schillera, wycięte z jakiegoś tygodnika, a obok niego doskonałą reprodukcję jednej z karykatur, że tak powiem, Ważyka.

Początkowo wymawiałem się brakiem czasu, albo bólem zębów i proponowałem jej, uważacie, by sama zakosztowała tego duchowego pokarmu i poszła sobie do teatru, ale baba jak baba — uparła się i powiedziała, że — nie, i że, musimy iść w czwórkę, tzn. ona, jej przyjaciółka, przyjaciel jej przyjaciółki i ja.

Wreszcie miałem już dość tych codziennych kwękań. No, bo to pod koniec trzeciego tygodnia, to zaczęła wykrzykiwać, że jestem tyran, łotr, że chcę ją zasuszyć(?), zmarnować, że podcinam jej skrzydła (?!), że dla mnie poświęciła całą swą przyszłość, a ja — to nie potrafię, uważacie, ocenić tego i że reakcjonista jestem, wróg nowych czasów i — wogóle...

Cóż więc miałem robić?... Musiałem ulec, że tak powiem. To też pewnego dnia powiedziałem jej słodko: dobrze!... zaproś twoją przyjaciółkę i przyjaciela twojej przyjaciółki, odprasuj mi spodnie mego przedwojennego garnituru w paski i jutro — pójdziemy!... Skoczyła mi, uważacie, wtedy na szyję, pocałowała mnie w czoło i prawe oko i powiedziała, że jestem najlepszym mężem pod słońcem.

No i rzeczywiście następnego dnia poszliśmy. Przed kasą był naturalnie ogonek. Ponieważ ja byłem tym, który zapraszał, stanąłem w tym ogonku, a żona, przyjaciółka żony i przyjaciel tej przyjaciółki przeszli do poczekalni. Stałem tak, uważacie, w tym ogonku i myślałem. Biłem się z myślami, że tak powiem. No, bo niby w którym rzędzie zakupić krzesła?... W pierwszym, piątym, czy osiemnastym?... A może na balkonie?... W końcu zdecydowałem się na pierwszy. Bo to i dobrze wygląda, no i ja, jako krótkowidz, któremu ostatnio wyciągnął ktoś w tramwaju okulary z kieszeni, z dalszych rzędów mógłbym nic nie widzieć.

Ponieważ ogonek był dość długi, nie widziałem początkowo cen, jakie stały wypisane na wywieszonym cenniku. Ale kiedy byłem już bliżej i zacząłem je, uważacie, studiować — zbladłem. Pierwsze rzędy kosztowały 265 zet, że tak powiem. Szybko przypomniałem sobie tabliczkę mnożenia, pomnożyłem 265 przez 4 i gdy wypadło mi 1050 — wycofałem się delikatnie z kolejki.

Żonie, przyjaciółce żony i przyjacielowi przyjaciółki powiedziałem, że biletów zabrakło. Miny im trochę zrzedły, ale moja kochana (!) żoneczka zaraz zaszczebiotała: to pójdziemy gdzieś na kolację!... Milcząco zgodziłem się. I poszliśmy, uważacie, do „Tivoli". Zamówiliśmy kolację, wypiliśmy po dwie wódki, przyjaciel przyjaciółki potańczył swingiem z moją żoną, wypaliliśmy paczkę papierosów i po czterech godzinach poszliśmy do domu. Rachunek wynosił 980 złotych.

Obecnie moja żona woli chodzić na dancing niż do teatru. Tymbardziej, że panna Lola, która była na jednej z współczesnych sztuk powiedziała jej, że do dziś bolą ją oczy od dymu, jakim wypełnia się salę na zakończenie spektalu, a koleżanka panny Loli dostała szoku nerwowego od nieustannej strzelaniny, jaka w trakcie przedstawienia trwa za kulisami.

Co innego, że strawa duchowa, że teatr dla mas, że realizm — to jednak wielka rzecz, że tak powiem.

marek.

Sfinks egipski musi milczeć
Kiedy ma kaganiec wilczy,
Nie pomoże „O la Boga!"
Przez nich do Suezu droga.

Choć się robi na amorka
Wychodzi jak szydło z worka,
Wszystkie szpaki wiedzą w lesie
Co rzecz można o Byrnesie.

Hitlerowski zwierz jak ongi
Wyłamuje klatki, drągi,
Miast sprowadzić go do Jeny
Czekamy na Chamberliny!